HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I | KWIECIEŃ 1946 | NR 4

SUISSE | SZWAJCARIA | SCHWEIZ

SPIS TREŚCI

Dr Olgierd Zdrojewski: Tragedia książki polskiej . . 1
Dr Alfred Loepfe: Niemiecka gramatyka i niemiecki człowiek 6
Dr St. Liberek: Elita gospodarcza 12
Stanisław Szczygielski: Paryska wizyta polskich pisarzy . 16
Janusz Kucharski: Ballada o cichej wiosce . . . 20
Władysław Łuczak: Klucze 21
Gustaw Morcinek: Bracia Kordiczowie 22
GŁOSY PRASY pod redakcją *T. Jaraczewskiego* . . 36
Kronika kulturalna Polonii Amerykańskiej . . . 39
Przegląd wydawniczy 40

Na okładce reprodukcja obrazu Jana Zamoyskiego z „Bractwa św. Łukasza" — Kobieta z palmą

Klisze reprodukcyj obrazów malarzy polskich zostały wykonane z książek: Alfreda Kuhn, Die polnische Kunst, Berlin 1930 — Katalog działu sztuki, wydany z okazji Pow. Wystawy Krajowej w Poznaniu, 1929 r. — Fr. Siedlecki, Grafika polska, Warszawa 1927.

Ilustrację do noweli G. Morcinka wykonał Janusz Kucharski, Fryburg.

BIBLIOTEKA W.S.P. Wodzisław
1114 33522

Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247, Téléphone 2.18.92.
Compte de chèques postaux IIa 3219.

K. 207/56.

HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I KWIECIEŃ 1946 NR 4

Dr Olgierd Zdrojewski (Francja)

TRAGEDIA KSIĄŻKI POLSKIEJ

I.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę jak nieocenionym skarbem stała się dziś książka polska, jak wielką jest dziś rzadkością. Straty, jakie poniosło polskie słowo drukowane, są dwojakiego rodzaju. Przede wszystkim jest to zniszczenie, lub rozgrabienie bibliotek — począwszy od wielkich księgozbiorów narodowych, a skończywszy na skromnych bibliotekach naszego ubogiego inteligenta. W tej dziedzinie nie jesteśmy jednak wyjątkiem; we wszystkich państwach, objętych pożarem wojny, to samo zniszczenie i ta sama grabież miały miejsce. Drugim faktem, równie groźnym, ale specyficznym dla Polski, jest całkowite zahamowanie twórczości literackiej i poetyckiej przez blisko pięć i pół lat. W innych krajach okupowanych, jak choćby we Francji, lepsze warunki ekonomiczne i mniejszy ucisk niemiecki pozwalał wydawcy na wydrukowanie coroczne pewnej ilości książek. Był on oczywiście poważnie obciążony haraczem obowiązkowej bibuły propagandowej, ilość wydawnictw była bez porównania mniejsza od produkcji przedwojennej i nakłady często minimalne, niemniej we Francji w latach okupacji książka wychodziła spod prasy. Pominąwszy pisarzy francuskich „kollaborujących" z okupantem (Abel Hermant, Abel Bonnard, Sacha Guitry, de la Varende), dla których oczywiście biura wydawców musiały stać otworem, szereg autorów potrafiło znaleźć możliwość wydania drukiem utworów, które choć neutralne politycznie, stanowią jednak poważny dodatni bilans w literaturze francuskiej okresu okupacji.

W Polsce bilans ten niestety równa się prawie zeru. Nikt winić tu nie może oczywiście naszych pisarzy i poetów, którzy choć nie mieli możności drukowania swoich utworów i zmuszeni byli wykonywać najdziwaczniejsze zawody „aby żyć", tym niemniej posiadają dziś bogaty materiał przygotowany do druku i ciągle jeszcze oczekujący lepszych czasów. Nikt również nie może umniejszać przepięknego wysiłku polskich wydawnictw podziemnych i jego znaczenia dla podtrzymania zabijanej przez okupanta kultury polskiej. Niemniej jednak jest faktem, iż w porównaniu do ożywionej działalności wydawniczej z przed roku 1939, lata okupacji były ciężkim ciosem.

Po zakończeniu niemieckiej okupacji sytuacja na rynku wydawniczym uległa pewnej poprawie. Czytelnika odsyłamy w tej sprawie do szczegółowych

danych, zawartych w Przeglądzie Wydawniczym (Wydawnictwa książkowe „Czytelnika"). 295 książek i broszur, wydanych w Kraju w okresie od 22 lipca 1944 do 16 października 1945, nie stanowi cyfry imponującej. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę zniszczenie Polski powojennej, obecne warunki gospodarcze i wynikające stąd możliwości wydawnicze, bilans ten jest może nawet i piękny.

Z jakąż więc zazdrością myśleć można w tych warunkach o tych polskich literatach i dziennikarzach, którym los pozwolił znaleźć się w czasie wojny „po drugiej stronie barykady" w jednym z państw wolnych i umożliwił normalną twórczość i prawie normalne warunki wydawnicze. Pisano bowiem za granicą po polsku dużo przez te lata i drukowano również dużo. Okoliczności, w których Polska była niejednokrotnie ośrodkiem zainteresowania całego świata sprawiły, iż pisano również dużo o Polsce w innych językach, szczególnie po francusku i angielsku. Tłumaczono na te języki nową twórczość polskich pisarzy na emigracji („Eskadra 303" wydana w wielu krajach i językach). Sporo pisarzy obcych atakowało tematy polskie z większą lub mniejszą ich znajomością.

Fakt, iż wydawnictwa polskie i o Polsce ukazywały się w różnych krajach uniemożliwia — przynajmniej w tej chwili — dokładną orientację w tej sprawie. Nie istnieje biblioteka, która by je grupowała. Gorzej nawet: nie istnieje ich bibliografia. We wszystkich państwach świata jest prawo nakazujące wydawcom składanie t. zw. egzemplarza obowiązkowego do głównych bibliotek narodowych. Obawiać się jednak należy, iż w stosunku do wydawnictw cudzoziemskich, drukowanych w specyficznych warunkach wojennych, często przez różne nieoficjalne organy lub wojsko, a nie przez zawodowych wydawców — przepisy o egzemplarzu obowiązkowym nie były przestrzegane. Osobiście stwierdziłem w paryskiej Bibliotece Narodowej — największej przecież bibliotece świata i zupełnie nieuszkodzonej wypadkami wojennymi — brak bardzo wielu wydawnictw polskich, drukowanych w Paryżu w okresie od 1 września 1939 do 15 czerwca 1940. Nie tylko nie istnieje więc księgozbiór, który by grupował druki polskie wydane za granicą podczas okupacji Polski, lecz druki te nie figurują w księgozbiorach krajów ich wydania.

II.

Aby zanalizować w tym krótkim szkicu polską działalność wydawniczą na emigracji za lata okupacji, podzielić ją można na trzy grupy.

1) Bez wątpienia wielki odsetek stanowią druki o charakterze polityczno-propagandowym, wydawane w wielu językach. Ilość ich zwiększyła się wydatnie w ostatnich latach ze względu na szczególne zawikłanie się sprawy polskiej i powstanie ugrupowań wzajemnie się zwalczających. Jeżeli nie posiadają one oczywiście żadnej wartości literackiej — tym niemniej stanowić będą kiedyś ważny materiał dla historyka i powinny być zachowane dla potomności już choćby z tego względu. Okres naszej historii bardzo podobny do dzisiejszego, a mianowicie okres t. zw. Wielkiej Emigracji posiada kompletny materiał druków, zachowany w Bibliotece Narodowej i Bibliotece Polskiej w Paryżu.

2) Przedruki wielkiej literatury polskiej. Wydano ich bardzo wiele ostatnimi laty, często metodą fotograficzną, która umożliwia wybrnięcie z trudnej

kwestii braku czcionek polskich w drukarniach zagranicznych. Niskie nakłady uniemożliwiły niestety wielkie ich rozpowszechnienie. Ceny, szczególnie książek wydanych w Anglii, były bardzo wysokie, za to ich forma zewnętrzna bardzo dobra, czasami wręcz luksusowa. Dużo tańsze, ale na złym papierze i dość tandetnie wydane, wydawnictwa drukowane w Jerozolimie (wyszedł tam prawie cały komplet wielkiej literatury polskiej i bardzo dużo podręczników szkolnych) po sprowadzeniu ich n. p. do Francji dochodziły do cen często prohibicyjnych.

3) Nowa twórczość literacka pisarzy przebywających na emigracji. Była ona bardzo bujna w tym okresie. Szereg wielkich nazwisk podniósł jeszcze wyżej swój prestiż, powstało wiele nowych nazwisk. A twórczość ta jest dlatego szczególnie ważna, iż jest ona prawie całkowicie nieznana krajowi, nazwiska polskie dobrze już zadomowione w literaturze polskiej za granicą nic jeszcze nie mówią Polakowi w Polsce. Ze względu na małe nakłady, często już całkowicie wyczerpane oddawna, trudności komunikacyjne i t. p., literatura ta jest jeszcze prawie całkowicie nieznana w Polsce.

Książki po polsku lub o Polsce wychodziły ostatnimi laty prawie we wszystkich państwach wolnego świata. W pewnych jednak krajach ilość ich była specjalnie duża ze względu na duże zgrupowanie nowej emigracji polskiej, w której przeważał odsetek inteligencji. Ruch wydawniczy zapoczątkowany został po klęsce wrześniowej we Francji, gdzie zimą 1939 i wiosną 1940 wyszło szereg wspomnień z walk, sporo wydawnictw informacyjnych o Polsce; między innymi dwa wydawnictwa oficjalne rządu polskiego w Angers: „Biała Księga Polska“ i „Czarna Księga Polska Okrucieństw Niemieckich“. Po klęsce Francji punkt ciężkości polskiego ruchu wydawniczego przeniósł się do Anglii. Już samo opracowanie bibliografii druków polskich i o Polsce, wydanych w Wielkiej Brytanii w latach 1940—45, stanowiłoby poważny przyczynek do historii emigracji polskiej. Żadna tego rodzaju bibliografia nie istnieje. Zawierałaby ona z całą pewnością kilka tysięcy pozycyj. Oprócz licznych przedruków literatury polskiej przedwojennej i wielu setek broszur propagandowo-politycznych w różnych językach powstał w tym okresie szereg poważnych opracowań historycznych, dotyczących kampanii wrześniowej, rozważań nad dziejami Polski z okresu 1918—39, dziejów polskiej myśli politycznej i t. p. Literatura piękna wzbogaciła się szeregiem opisów przygód i wyczynów żołnierza polskiego na wszystkich frontach świata, poezja znaczną liczbą tomików poetów polskich starszego i młodszego pokolenia. Jednym z głównych wydawców polskich był i jest M. I. Kolin w Londynie. W tychże latach spory polski ruch wydawniczy zaznacza się w Stanach Zjednoczonych oraz Kanadzie. Nieco później napotykamy na książki polskie drukowane w Szwajcarii, gdzie znaczna ilość inteligencji polskiej, rekrutującej się spośród internowanych oddziałów wojska, studiuje na uniwersytetach.

Począwszy od roku 1943 dużą działalność wydawniczą przejawiać zaczyna Związek Patriotów Polskich z siedzibą w Moskwie, który oprócz dużej ilości wydawnictw propagandowych w języku polskim drukuje szereg wydań naszej wielkiej literatury. W tym samym okresie bardzo wielka ilość wydań popularnych wychodzi na bliskim Wschodzie, głównie w Palestynie, drukowanych nakładem Armji Polskiej na Wschodzie, która od roku 1944 przenosi swą działalność wydawniczą do Rzymu i kontynuuje ją do dnia dzisiejszego.

Częściowy przegląd wydawniczy tych druków podany był w numerze 1 i 2 „Horyzontów". Figurują tam zarówno przedruki z literatury przedwojennej jak i nowa twórczość wojenna głównie pisarzy związanych z II-gim Korpusem. Wreszcie po wyzwoleniu Francji podejmuje znów działalność wydawniczą Księgarnia Polska w Paryżu, która pod fachowym kierownictwem dra Lama ma na swoim dorobku po zaledwie rocznej działalności szereg poważnych pozycyj zarówno w zakresie naukowym (Historia stosunków polsko-francuskich dra Korowicza) jak i beletrystycznym (Gustaw Morcinek: Listy spod Morwy i t. p.). Ostatnio wyszły z druku dwie antologie poezji polskiej na emigracji i prozy polskiej na emigracji, które naprawiają choć w części kompletną ignorancję powszechną dorobku myśli polskiej ostatnich sześciu lat i są przez to bezcennym źródłem informacji.

Niesposób wymienić wszystkich zakątków kuli ziemskiej, gdzie rozproszeni po całym świecie nasi literaci i poeci drukowali swe utwory. Wychodziły w ostatnich latach książki po polsku w Rumunii, na Węgrzech, w Belgii, w Holandii, w Argentynie...

Nadmienić wreszcie wypada, iż dużą rolę odegrały również polskie wydawnictwa periodyczne, które wychodzą we wszystkich państwach. Przedwojenna prasa polska przeznaczona dla naszej emigracji robotniczej dawała jej przeważnie jedynie informację. Prasa ta zmieniła się całkowicie po wrześniu 1939. Stare pisma emigranckie zmieniły charakter, stając się polityczno-literackimi; powstawały też liczne nowe pisma przeznaczone dla nowej emigracji polskiej — już nie ekonomicznej, a politycznej. Nowa polska prasa emigracyjna poświęcała dużo miejsca, oprócz informacyj i zagadnień politycznych, oryginalnej twórczości literackiej. Ta twórczość prawie nigdy nie doczekała się jeszcze wydania książkowego; w dużym procencie są to reportaże wojenne naszych młodych pisarzy pracujących w mundurze „correspondent of war", tym niemniej nie wolno nam niedoceniać tego rodzaju twórczości, tak dziś rozpowszechnionego. Polska poezja wojenna również często nie miała innego sposobu dotarcia do czytelnika jak poprzez prasę emigracyjną.

Polskich pism za granicą jest bardzo wiele, wymienić ich nie sposób, nie istnieje zresztą żaden ich wykaz. Pominiemy pisma emigranckie ściśle informacyjne, z których najstarszym jest dziś „Narodowiec" wychodzący w Lille we Francji w ilości 50.000 egzemplarzy dziennie (nie posiadamy dostatecznych informacyj o prasie polskiej w Ameryce bardzo rozwiniętej i posiadającej wysokie nakłady). Z pism polityczno-literackich najstarszem jest „Polska Walcząca", wchodząca obecnie w ósmy rok istnienia i wydawana początkowo we Francji a następnie w Anglii. W okresie 1939/40 zaczęło wychodzić we Francji szereg innych poważnych pism polskich z „Wiadomościami Literackimi" na czele. Załamały się one z upadkiem Francji. Egzemplarzy tych pism nie można dziś znaleźć w żadnej bibliotece, istnieją być może w nielicznych zbiorach prywatnych.

Począwszy od jesieni 1940 rozpoczyna się szybki rozwój polskiej prasy politycznej i literackiej w Anglii. W latach 1941—1943 istnieje tych pism kilkanaście. Na wyrywki przytoczyć można istniejące do dziś dnia: „Nowa Polska" (liter.), „Robotnik" (polit. PPS), „Bellona" (wojskowy), „Jutro Polski" (polit. P. S. L.), „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" (inform. polit.), „Kurjer Polski" (inf.).

Bardzo silnie rozwinięta jest również prasa w Armji Polskiej na Wschodzie (obecnie II-gi Korpus), gdzie najważniejszym organem jest tygodnik „Orzeł Biały“ (wychodzi od 1941), dalej „Dziennik Żołnierza APW“ (wychodzi od 1943) „Ochotniczka“ (miesięcznik kobiecy, wychodzi od 1941), „W Imię Boże“ (dwutygodnik religijny), „Parada“ (luksusowo wydawany tygodnik ilustrowany — przypominający polskiego „Światowida“ przedwojennego — wychodzi od roku 1943), pisma dywizyjne „Taran“ i „Na szlaku Kresowej“, pismo humorystyczne „Łazik“. Wszystkie mają charakter polityczno-literacki.

Nie jesteśmy w możności podać żadnej informacji o prasie polskiej ukazującej się w Z. S. R. R.: wiemy jedynie, iż prasa ta istnieje. Szereg pism polskich wychodzi również obecnie w Niemczech z „Defiladą“ organem Pierwszej Dywizji Pancernej na czele. Są to jednak pisma informacyjne, a nie literackie, podobnie jak i prasa ukazująca się obecnie we Francji (tygodnik „Sztandar Polski“ pro-londyński, dziennik „Gazeta Polska“ pro-warszawski, tygodnik „Polska Wierna“ katolicki).

III.

Ta krótka historia polskiej książki na emigracji w ostatnich sześciu latach daje nam okazję do następujących wniosków:

Jest rzeczą czynników oficjalnych w kraju zająć się energicznie odtworzeniem naszych wielkich bibliotek publicznych tak ciężko doświadczonych wojną, ze szczególnym uwzględnieniem wydawnictw naszej literatury podziemnej, które w dużym procencie można odszukać. Rolą zaś polskich kół intelektualnych na emigracji jest zaopiekowanie się dorobkiem literackim naszego wychodźstwa. Widzieliśmy, że dorobek ten jest wielki i że jest on rozproszony w różnych państwach. Idealnym rozwiązaniem byłoby stworzenie jednej wielkiej biblioteki polskiej za granicą, która by podjęła się wysiłku zgromadzenia wszystkich druków polskich wydanych za granicą po wrześniu 1939.

Zadania tego podjąć by się mogła, gdyby znaleźć odpowiednie fundusze, Biblioteka Polska w Paryżu, która ciężko dotknięta rabunkiem niemieckim z nadzwyczajną energią ruszyła z miejsca natychmiast po wyzwoleniu Francji i dzięki poświęceniu się personelu z dnia na dzień powiększa swój tak bardzo uszczuplony księgozbiór.

Pierwszą akcją byłoby sporządzenie kompletnego katalogu druków polskich wydanych za granicą (niezależnie od ich języka). Aby sporządzić taki katalog należało by czerpać ze wszystkich możliwych źródeł, należało by przejrzeć katalogi wielkich bibliotek narodowych w tych krajach, gdzie specjalnie dużo książek polskich drukowano, przestudiować notatki bibliograficzne w pismach polskich, zajrzeć do bibliotek prywatnych. Dla wykrycia wszystkich poloników w językach obcych wielką pomocą mogłaby być np. rubryka istniejąca w rzymskim „Orle Białym“ i londyńskim „Dzienniku Polskim“ zatytułowana „Sprawy polskie w książkach obcych“, prowadzona przez Scrutatora.

Z kolei, a nawet jednocześnie, zająć by się należało skompletowaniem księgozbioru, to jest uzyskaniem po jednym egzemplarzu każdego z druków skatalogowanych przez zwrócenie się do wydawców, o ile można ich znaleźć, do drukarzy, jeżeli nie ma wydawców, do zbieraczy prywatnych, choć ci niechętnie rozstają się ze swymi zbiorami, poszukać może trochę na los szczęścia.

Dr Alfred Loepfe (Szwajcaria)

Niemiecka gramatyka i niemiecki człowiek

Zarys semantyczny

(Tłumaczył z niemieckiego E. Lukas)

Dalszy ciąg

IV. Dynamizm

Czy dynamizm woli znajduje swoje odzwierciedlenie w niemieckim języku? Już sam wyraz »dynamizm«, a dalej termin »akcent dynamiczny«, ukazują nam drogę, po której można dojść do odpowiedzi na powyższe pytanie.

Niemiec akcentuje rdzeń słowa. Widzi w nim bowiem coś zasadniczego i istotnego. Funkcyjne końcówki nie nadają zatem słowu nigdy tonu. W złożeniach akcentuje Niemiec analogicznie charakterystyczną zmianę zasadniczego znaczenia.

Wszystkie słowa — za wyjątkiem tych, które tworzone są przy pomocy prefiksów *be-, ent-, er-, ge-, miss-, ver-* (oraz kilku przypadkowych połączeń)- mają akcent nagłosowy, który zawsze podkreśla to, co stanowi charakterystyczny i zmieniający moment w słowie, a nie jego zasadnicze znaczenie. Ten akcent nagłosowy znajdujemy również w złożeniach rzeczownikowych tak typowych dla języka niemieckiego. Powyższą tendencję obserwujemy jeszcze dalej: zgrupowania słów są również tak uporządkowane, że zawsze ich część składowa mocniej akcentowana, a uwydatniająca połączenia przedstawień, znajduje się na początku zdania:

Sam osobiście znalazłem u „bukinisty" nad brzegiem Sekwany dzieło polskie, którego nie było ani w Bibliotece Narodowej, ani w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Tę samą metodę należało by zastosować dla stworzenia kompletów prasy polskiej na emigracji, począwszy od września 1939.

Ponieważ polski ruch wydawniczy za granicą nie tylko nie osłabł, lecz przeciwnie wzrasta i może jeszcze wzrastać będzie w miarę polepszania się sytuacji na rynku papierniczym, ważną było by rzeczą pomyśleć o tym, aby chociaż na przyszłość biblioteka taka mogła posiadać komplet druków polskich wydanych za granicą. Biblioteka Polska w Paryżu potrafiła zabezpieczyć sobie otrzymywanie druków polskich wychodzących we Francji, jednak książki wydawane w innych krajach otrzymuje jedynie przypadkowo.

Czyż w braku odpowiednich przepisów prawnych nie było by możliwości stworzenia m o r a l n e g o e g z e m p l a r z a o b o w i ą z k o w e g o, który by wydawca książki polskiej, w jakimkolwiek kraju znajdowałby się on, nadsyłał do tej wielkiej centralnej biblioteki polskiej za granicą. Jak wielkie znaczenie posiadałoby istnienie takiej biblioteki zarówno dla współczesnego badacza, jak i dla przyszłego historyka. Jak wiele pozytywnych osiągnięć kultury polskiej rozproszonych po świecie nie zginęło by dla potomności. Czyż nie posiada to pierwszorzędnego znaczenia właśnie dziś, gdy winniśmy ratować, co się da z naszego dorobku kulturalnego tak ciężko doświadczonego wojną i prześladowaniem.

zgrupowanie słów z bezokolicznikiem:

(ich werde) **einen Brief** — *schreiben*
(ich wünsche) **einen Brief** — *zu schreiben*
(er kam, um) **einen Brief** — *zu schreiben*

zgrupowanie słów z imiesłowem czasu przeszłego:

(ich habe) **einen Brief** — *geschrieben*
(ich hatte) **einen Brief** — *geschrieben*

zgrupowanie słów z imiesłowem czasu teraźniejszego:

(der) **einen Brief** — *schreibende Freund*

złożenie rzeczownikowe: *der* **Brief**-*schreiber*

w zdaniu pobocznym: *(weil ich)* **einen Brief** — *schreibe*

W połączeniu pojęciowym »*Brief*« i »*schreiben*« akcent spoczywa na słowie »*Brief*«. Ta więc część połączenia stoi na początku. Tylko w czasie teraźniejszym i imperfectum następstwo jest odwrotne: »*Ich schreibe (schrieb) einen Brief*«. Można by tu dodać, że także słowa pomocnicze *(werden, haben* i *sein)* podporządkowane są pojęciowo przedstawieniu »*schreiben*« i dlatego powinny stać po nim. W tym jednak wypadku obserwujemy oddziaływanie prawa rytmicznego Wackernagla, według którego drugie miejsce w zdaniu zarezerwowane jest dla tego rodzaju słabo akcentowanych słów. To samo zjawisko obserwujemy najlepiej na przykładzie nieakcentowanych zaimków zwrotnych *(mich, dich, sich, uns, euch)*, które według reguły szkolnej stawiamy możliwie na początku zdania (»*weil sich die Verhältnisse günstig entwickeln*« brzmi lepiej niż: »*weil die Verhältnisse sich günstig entwickeln*«). Wygląda to prawie na to, że zwyczaj stawiania tak częstych słów pomocniczych w spadek akcentowy, towarzyszący podmiotowi (na 186 form słownych użytych osobowo, 160 jest złożonych!) spowodował żelazne prawo członowe w niemieckim układzie słów. Przecież dzisiaj już stwierdza gramatyka, że czasownik użyty osobowo zajmuje zawsze drugie miejsce w zdaniu. Jeżeli podmiot nie stoi na początku zdania, otrzymujemy wówczas znaną inwersję. Prawo to musiało w następstwie doprowadzić do typu: »*der Freund schreibt (schrieb) einen Brief*«.

Grupa słowna, utworzona z czasownika i przedmiotu, pozostaje nierozdzielna. Reszta zdania, a więc inne określenia, przysłówki, nie może być między te dwa człony wstawiona: »*Ich habe dem Freund einen Brief geschrieben*«. Jeżeli przedmiot stanowi zaimek — działa tu już rytmiczne prawo miejsca: »*Ich habe es ihm geschrieben*«.

Rozumie się samo przez się, że zależne przymiotniki muszą stać przed rzeczownikami, że czasowniki złożone wracają do pierwotnego typu: *abschreiben* i t. d. Jeśli chodzi o te ostatnie — nasuwa się tutaj pytanie, dlaczego takie złożenia w pewnych formach są rozdzielane. Właśnie ten rozdział jest dla niemczyzny niezwykle charakterystyczny.

Partykuły złożeniowe, dające się oddzielać, są jak wiadomo pierwotnymi przysłówkami, których używa się jeszcze ciągle w tym znaczeniu: *Ab! Zurück! Herein! Fort!* i t. d. Wszędzie tam, gdzie te symbole sytuacyjne łączą się z pojęciem rzeczowym, muszą one ustępować miejsca ważniejszej części składowej, mocniej akcentowanej: *Hut ab! Türe zu! Aus dem Hause heraus! Hände hoch! Finger weg!...* Samodzielne te grupy występują w tym charak-

terze poza czasownikami. Ponieważ jednak partykuły te mogą się łączyć również z czasownikami — wydaje się, że mamy tutaj do czynienia z ich wydzielaniem się: »*Ich nehme (nahm) den Hut — ab, ich kehre nach Hause — zurück*« i t. d.

Zjawiska tego nie odczuwamy jako rozdzielania się czasowników złożonych — tak że przedrostek czasu przeszłego *ge-* i bezokolicznika *-zu* kładziemy po tych przysłówkach, a zatem we wspomnianych wyżej grupach widzimy coś jednolitego: »*Ich habe den Hut — ab genommen, um nach — Hause — zurück zu kehren*«.

Wyodrębnianie akcentowe momentu istotnego spośród części nieistotnych, czynnika modyfikującego spośród części ulegających modyfikowaniu, podkreślanie członu dodanego przed substancją, akcentowanie części zależnych przed częściami uzależniającymi — skrystalizowały się w pewne prawo, którego oddziaływanie stwierdzamy w zjawisku podkreślania słów, ich kształtowania, w grupach słownych, w zdaniach. Prawo to jest wszędzie niezwykle konsekwentnie przeprowadzone. Jest ono w każdym razie dynamiczną zasadą porządkową. Grupa słowna staje się przez to zaokrąglona i zwarta, w przeciwieństwie do swobodnego następstwa wyrazów w języku francuskim. Francuz może dowolnie poszerzać zdanie przez dodatkowe człony — tak, jak one mu się właśnie nasuwają. Stąd rozmowa w języku tym jest o wiele swobodniejsza. Niemiec, zanim zacznie mówić, musi mieć schemat zdania już zbudowany. Musi więc powiedzieć to, co przedtem pomyślał. Fakt ten może w nieco przesadny sposób określa Hermann Bahr: »Niemiecki mówca przeżuwa każde zdanie najpierw trzykrotnie w swojej krtani«. Niemieckie zdanie — to stałe histeron-proteron. Dlatego też nie bez słuszności nazywają Francuzi swoje następstwo słów (a więc i mowę) logicznym. Czy możemy na tej podstawie uważać, że niemczyzna jest nielogiczna, irracjonalna? Byłby to najbardziej naiwny wniosek. Przekonaliśmy się przecież, że zjawisko niemieckiej »zunifikowanej« (Henryk Weil) budowy grupowej stanowi tylko dalszą fazę rozwojową dynamicznego akcentu słownego. Jednakowoż tendencja do zaokrąglania, do »wchłaniania«, do zamykającego ujmowania doznań myślowych, czuciowych i wyobrażeniowych, jest najzupełniej widoczna.

Dlatego też i nauka o zdaniach pobocznych została konsekwentnie przez niemiecką gramatykę rozbudowana na podłożu analizy zdania. Zasadza się ta nauka na rozróżnianiu następujących zdań pobocznych: podmiotowych, orzecznikowych, przedmiotowych, przydawkowych i przysłówkowych. I zupełnie słusznie! Specyficzna pozycja końcowa czasownika w zdaniu pobocznym jest właśnie wynikiem skłonności, aby myśl tego zdania włączyć jako jeden człon do zdania głównego — tak, aby ją wchłonął pierwotny schemat myślowy. Niemieckie zdanie okresowe przejawia w ten sposób ów pomyślany na wielką skalę i niebezpieczny uniwersalizm. Kiedy mianowicie z rozwojem prozy pod wpływem łacińskich wzorów narastały i mnożyły się tego rodzaju poszerzania przez zdania poboczne — niemiecki styl uległ był kryzysowi. Zdanie okresowe wyrodziło się w coś monstrualnie powikłanego. Zmuszało to czytelnika do bardzo wytężającego rozplątywania tych powikłań, zaś piszącego mogło bardzo łatwo wprowadzić w labirynt.

Aby tylko do jednego przykładu uciec się — wystarczy przypomnieć, że w podobny sposób przecież niemiecka estetyka zawzięła się ambitnie na to, by z formy i treści uczynić coś jednego, by formę włączyć do treści,

zaś treść do kształtu. W klasycznych poglądach romańskich na sztukę forma i treść są — że się tak wyrazimy — niezależne. Bardziej zbliżonym do ideału jest usiłowanie niemieckiej estetyki (najczęściej zwane germańskim, czy aby tylko słusznie?). Ten jednak estetyczny uniwersalizm jest już chyba prometejskim poczynaniem.

Tak więc dotarłszy do terminu uniwersalizm, który wycisnął piętno na niemieckim romantyźmie, na niemieckim wykształceniu, niemieckiej muzyce (Wagner), niemieckiej polityce ostatniego stulecia, znaleźliśmy się znowu w punkcie wyjściowym naszych rozważań: uniwersalizm jest faustowską żądzą stania się wszystkim, posiadania i chcenia wszystkiego. Jest on obliczonym na wielką skalę wchłanianiem realności w ramy **ja.**

V. Nieporozumienia z rzeczywistością

Gdyby egotyzm niemieckiej filozofii był tylko biernym rezultatem myślenia, a nie jego źródłem, musieliby zwolennicy tej filozofii przeżywać kryzys — taki, o jakim mówi nam Henryk Kleist. Musieliby również stracić jakiekolwiek zainteresowanie w odniesieniu do nie — ja, które przecież jest tylko produktem naszego ja. A jednak ta właśnie filozofia zachęciła bojaźliwych Niemców 18 wieku do najwyższego aktywizmu i uczyniła z nich to, czym są oni dzisiaj. Filozofia niemiecka woli zatem raczej dążenie ku prawdzie, niż jej posiadanie. Stawia wyżej tworzenie tej prawdy i wiarę w nią, niż poddawanie się jej, panowanie nad rzeczywistością, niż jej formowanie: »*Un esprit qui meprise le bon sens et la modestie intellectuelle*« (E. Boutroux).

Dlatego też nic dziwnego, że Niemcowi rzeczywistość wymyka się z rąk. W niemieckiej literaturze n. p. powstała powieść realistyczna daleko później niż w innych literaturach i nie osiągnęła właściwie nigdy ich doskonałości. W etyce natomiast oznacza to rezygnację ze szczęścia, ponieważ szczęście jest pogodzeniem się z rzeczywistością. I faktycznie pożądanie szczęścia odgrywa skromną rolę w niemieckiej etyce Kanta, Fichtego, Hegla i Nietzschego (największą jeszcze u pesymisty Schopenhauera).

»Któż pojmuje trudniej od Niemca, co jest formą, któż może się jej w mniejszym stopniu podporządkować — nie mówiąc już o przyswojeniu jej sobie, o jej dokształceniu?« (Herder). Takie skargi na niemiecki brak wyczucia formy, które słyszy się ciągle od Niemców i nie-Niemców należy rozumieć *cum grano salis*. Bo także Niemiec zna pojęcie formy i zmierza ku niej. Co jednak pozbawia formy jego wyczyny i jego styl życia — to właśnie ów przerost obciążenia **ja**, który sprawia, że nie dostrzega on zupełnie obiektywnej miary rzeczy. Wiara w twórcze siły **ja**, poczucie mocy, którego doświadcza w zetknięciu się z rzeczywistością, kult dla rzeczy zdobytych i wymuszonych — wszystko to pozwala mu na lekceważący stosunek do formy. Jej przeciwieństwo uważa ten wieczny wyznawca *Sturm'u* i *Drang'u* za potężny przejaw **ja.** Z powodu swojego dynamizmu nie ogranicza się on tylko do tego przejawu i dlatego ta czynność kształtowania musi zamieniać się w szablonizowanie na podobieństwo własnego **ja.** W rezultacie brak formy zamienia się więc w szablon, indywidualny krok w zbiorowy marsz.

Na skutek działania mocnego akcentu stopniały dźwięczne ongiś końcówki do szczątkowych *-e, -en, -er, -(e)t, -(e)st*. Wzmocnienie rdzenia, nadającego sens, pociągnęło za sobą w rezultacie osłabienie elementów funkcjonalnych. Nie

można tu mówić o braku formy (w sensie gramatycznym i przenośnym), ponieważ mamy właśnie do czynienia z formowaniem, idącym w kierunku downętrznym, doistotnym. Polaryzację »mocny« i »słaby« widzimy nawet w grupie słownej: przymiotnik otrzymuje słabą końcówkę *-en*, jeśli oznaczające końcówki przypadkowe mogą być przydane poprzedzającym zaimkom (a więc także i rodzajnikom). Ma się w tym wypadku bez wątpienia do czynienia z formowaniem, celowym i energicznym, tylko w innym znaczeniu niż to się dzieje w językach romańskich i słowiańskich. Te ostatnie uświadamiają sobie końcówki jako doczepki funkcjonalne do substancji znaczeniowej. Niemiec natomiast rozróżnia według kategoryj »ważne« i »nieważne«. Język romański kształtuje formy z punktu widzenia okazjonalnego i usualnego, niemiecki z punktu widzenia »słaby« i »mocny«, jak to zresztą bardzo trafnie uwydatniają już same terminy gramatyczne.

Tego rodzaju tendencję rozróżniania i porządkowania można by rozmaicie tłumaczyć. Musimy jednak i to zjawisko powiązać z rozpoznanym już uprzednio egotyzmem myślenia. Wówczas okaże się ono dążeniem do przenikania rzeczy, znajdujących się poza obrębem **ja,** które człowieka, a szczególnie egotystę niepokoją w jakiś niesamowity sposób. Rzeczywistość ukazuje mu się w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu jako »podstęp obiektu«. Patrzy on na nią z nieufnością. Chce wiedzieć, co »właściwie« tkwi w rzeczach. Żaden język nie używa słowa »właściwie« *(eigentlich)* tak chętnie i tak często — słowa, które w całej swojej treści »właściwie« nie jest do przetłumaczenia. Ten tylko, kto choruje na realizm, poczuwa się do obowiązku takiego dociekania, do upartej gruntowności i szukania głębi. Kryje się za tym wszystkim chęć dojrzenia, co spaja »świat w jego najistotniejszej głębi« (Goethe, Faust). Kryje się także obawa przed niesamowitą rzeczywistością. I znowu nie zadawala Niemca bierne poznanie. Gruntowność rozpoznania pędzi go w objęcia wymędrkowanej sztuki organizowania i porządkowania.

Ta sama jakaś niesamowita siła kieruje Niemcem w jego badaniach obcych ludów. Rozwinął on je do mistrzostwa, które mogłoby stać się wzorem dla tych narodów w badaniu samych siebie. Ilekroć jednak te niemieckie badania wychodziły poza obręb materialnych zagadnień — zawodziły one najczęściej, ponieważ stale przyjmowały jako wykładnik wartościowania niemiecki punkt widzenia. Nie jest to tylko zwykły subiektywizm. Uświadamia bowiem on sobie swój charakter impresjonistyczny i nie tai go. Mamy tu więc do czynienia z ekspresyjnym subiektywizmem, a więc właśnie z egotyzmem.

Inne słabsze indywidualności — bo gramatycznym kategoriom zdaje się odpowiadać socjologiczne rozszczepienie na »mocny« i »słaby« — szukają rozwiązania dla swego niezrozumienia świata w ucieczce w głąb własnej osobowości. W ten sposób powstaje ów przysłowiowy niemiecki marzyciel, mistyk wpatrzony w siebie. To przez Fichtego wymyślone »do wewnątrz« scharakteryzował Maks Scheler jako obce rzeczywistości durzenie sobie głowy, jako »zakłamanie życiowe«, »zarozumiałość autokonteplacji«. Jakby jednak nie było — »to wierne niemieckie serce« darowało światu niejedno piękne dzieło. Była kiedyś epoka, która wierzyła w to, co wyśpiewał był Klopstock:

Boć przecie w niemieckiej krwi
Serca dobroć już tkwi;
Jakżeby bowiem ktoś bliski — daleki
W niemieckim kraju być zechciał na wieki?

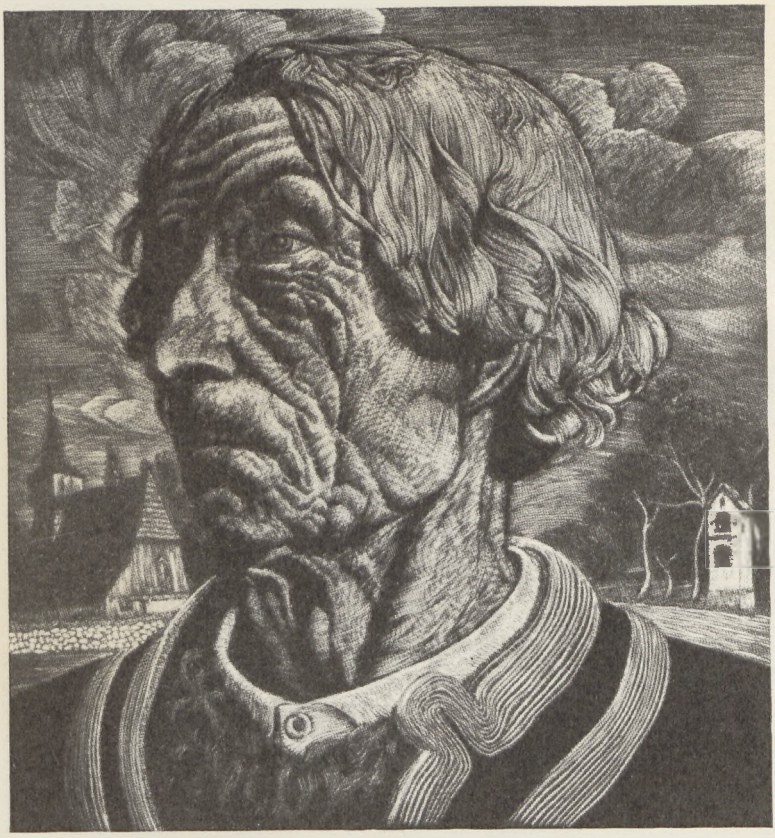

Władysław Skoczylas. Drzeworyt

Ignacy Łopieński. Starzec

Temu zatopionemu w sobie egotyście zawdzięczamy także zadziwiający rodzaj pobożności, której psychologiczne podwaliny tłumaczy Tomasz Mann: »Pobożność jest zadumą świata nad historią **ja** i jego zbawienia«. Zawdzięczamy mu w końcu niemiecką muzykę. »Muzyka jest środkiem formułowania naszych uczuć wewnętrznych bez wiązania ich z wydarzeniami, czy przedmiotami świata zewnętrznego... Jest ona wybraną sztuką dla tego rodzaju wyrazu artystycznego jeśli chodzi o umysły, dla których świat je otaczający jest jeszcze czymś obcym« (G. Santayana).

Kontemplujący Niemiec pozostawia więc świat zewnętrzny jednostce »silnej«, przenikającej, kształtującej, szablonizującej i porządkującej. A jednak — pomimo całego tego organizowania, porządkowania, kształtowania i szablonizowania — Niemiec nie odnajduje siebie w tym świecie. Do dzisiejszego dnia nie dał on swemu narodowi jakiejś stałej politycznej formy. Uporczywie tkwi przy dawnych ideach i marzeniach. Miotają nim ostateczności, waha się on między »sprzeciwem i bezgranicznym poddawaniem się« (Scheler), między tezą i antytezą. Dotychczas nie odnalazł on jakiejś trwałej formy współżycia z sąsiednimi narodami. Tłumaczy to nienawiścią do Niemców. Ale w tłumaczeniu tego faktu tkwi także egotystyczna idea. Nie pyta on przecież samego siebie, dlaczego »świat go nienawidzi«. A jeśli już zadaje sobie takie pytanie — znajduje odpowiedź nową, nacechowaną kultem **ja**: przyczyną tej nienawiści ma być rzekomo niemiecka »dzielność«. Tragiczne błędne koło myślenia, pozbawionego zmysłu rzeczywistości!

(Dokończenie nastąpi)

Czytelnicy „Horyzontów“

poza granicami Szwajcarii, którzy mają trudności z wpłacaniem należności za poszczególne numery, czy prenumeratę, za pośrednictwem miejscowych banków — mogą uiszczać należność w międzynarodowych kuponach pocztowych. Kupony prosimy przesyłać w kopercie na adres „Horyzontów“.

Pojedynczy egzemplarz — 5 kuponów
Półroczna prenumerata — 30 „
Roczna „ — 50 „

Administracja

Dr St. Liberek (Szwajcaria)

Elita gospodarcza

(Dokończenie)

Zaistnienie przeszkód, w następstwie których proces infiltracji zostaje przerwany, jest przyczyną podwójnego zjawiska: degeneracji elity i formowania się nowej.

Stara elita ma tendencje kastowe. Uprzywilejowane stanowisko, aureola, prestiż, honory, nabyte prawa, wspólny interes czynią z niej grupę coraz więcej zwartą i zamkniętą. W miarę upływu czasu przybiera ona formy coraz więcej sztywne, krystalizuje się, słabnie, kurczy i degeneruje się. Niezdolna do obrony swoich pozycyj ustępuje miejsca elicie nowej, dobrowolnie albo też pod przymusem, na skutek walki.

Czynniki, wpływające na osłabienie lub zanik elit gospodarczych, są różnej natury. Wojny, rewolucje, normy prawne, a niejednokrotnie i moralne, zwyczaje nie tylko mogą hamować ich rozwój, ale także stają się bezpośrednią przyczyną eliminacji. Te same czynniki mogą być jednak również podstawą wartościowej selekcji elit (Reynaud P. L.).

O ile społeczeństwo znajduje się na drodze postępu i rozwoju gospodarczego — starcie elit bywa bardzo gwałtowne. Zjawisko walki elit i jego zakamuflowaną formę — jeśli chodzi o elity polityczne — przedstawia również Pareto w dziale swoim „Systemy socjalistyczne", wykazując fałszywość marksistowskiej teorii „walki klas".

Trusty, kartele, syndykaty, związki zawodowe, zrzeszenia ekonomiczne jakąkolwiek nosiłyby nazwę, jeśli pragną wziąć udział w podziale zysków i zająć pozycje starych grup gospodarczych, napotykają na opór i prowadzą z nimi walkę. Natężenie walki zależy od woli i chęci poniesienia ofiar elity broniącej swych pozycyj i nowej elity atakującej, pragnącej wyeliminować starą elitę. Walkę tę obie strony usprawiedliwiają interesem ogólnym konsumentów, producentów, pośredników i t. p. Często charakter jej jest tak gwałtowny, że pociąga za sobą bardzo duże przemiany społeczne, gospodarcze i polityczne państwa. Walki amerykańskich trustów i karteli, angielskich związków zawodowych, francuskich syndykatów, południowo-amerykańskich producentów rolnych i przemysłowych, są tego dowodem.

Walka ta niejednokrotnie wychodzi poza granice własnego państwa i jest w konsekwencji przyczyną zbrojnych konfliktów międzypaństwowych. Walka o „przestrzeń życiową", czy o „sferę wpływów", jest również wynikiem imperialistycznych apetytów elit gospodarczych, szukających nowych rynków zbytu dla swych towarów, możliwie największej ilości konsumentów, starających zabezpieczyć sobie jednocześnie niezbędne dla produkcji źródła surowcowe. Historia polityczna państw południowo-amerykańskich (J. Bryce), jak również historia polityczna ostatnich czasów, dostarczają nam dostatecznej ilości przykładów, ilustrujących powyższe twierdzenie.

Zagadnienie autorytetu, „prestiżu" (G. L. Duprat), godności elity gospodarczej, ma duże znaczenie dla jej formowania i istnienia. Warunkiem powagi, czy uznania i autorytetu jest „wyższość", wynikająca z umiejętności planowania, koordynowania i przewidywania, doświadczenia, wiedzy, zdolności organizatorskich, ale jednocześnie z lojalności, regularności, solidności czy uczciwości.

W krajach o trwalszej równowadze społecznej cieszą się zaufaniem i uznaniem przedsiębiorstwa, którym nie zależy na dokonywaniu licznych i wątpliwych interesów i które nie hazardują się i nie życzą sobie ponoszenia ryzyka niewspółmiernego do ewentualnych zysków. Trwałość tych przedsiębiorstw jest zazwyczaj dłuższa aniżeli wszystkich innych. W Anglii, Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn., Holandii, Szwajcarii, Szwecji nierzadko spotyka się przedsiębiorstwa, obchodzące stuletnią rocznicę istnienia. Trzy pokolenia, kierujące jednym i tym samym przedsiębiorstwem, zachowują jego ciągłość, stałość i ewolucyjny rozwój; przedsiębiorstwo to będzie miało opinię „poważnej firmy", a jego dyrektorowie autorytet i uznanie.

„Wyższość" członków elity przemysłowców czy kupców jest najlepiej oceniana przez ogół przemysłowców i kupców przez wyniesienie ich na przodujące i reprezentacyjne stanowiska. Nie będą to zawsze osobnicy najwłaściwsi na te stanowiska, najlepsi czy najzdolniejsi; będą nimi umiejący w danej chwili narzucić swoją osobę większości. Pozostają oni na tych stanowiskach do czasu kiedy zastąpią ich inni, posiadający większy autorytet. Powaga elity wzrasta więc, lub zmniejsza się w zależności od opinii, jaką cieszą się jej członkowie. Poważny kupiec, przemysłowiec lub bankier, docenia ważność opinii, która jest wynikiem jego postępowania. Ponieważ motorem postępowania człowieka jest uczucie lub interes, przeto od „szlachetności" uczucia i „uczciwości" interesu będzie zależała opinia członków i elity, w skład której członkowie ci wchodzą. Słowo angielskie „gentleman" (M. Muret) wydaje się najlepiej charakteryzować przemysłowca, kupca, rolnika czy finansistę, którego należało by zakwalifikować do elity gospodarczej.

Użyteczność funkcji, jaką spełnia elita gospodarcza w życiu organizmu społecznego, sprowadza się w konsekwencji do postępowania jej członków. Postępowanie człowieka zależy od jego charakteru, jest wynikiem pewnej jego „skłonności" (P. A. Sorokin). Pomiędzy „skłonnościami" ludzkimi najważniejsze są te, które są stałe. Pareto nazywa je „résidus". Nie są to instynkty, ani nawet uczucia, ale raczej „pobudki", „bodźce", „emocje" (Petrażycki), oparte na instynkcie. Taką stałą skłonnością jest np. instynkt kombinacji i konserwacji. Są ludzie, którzy będą stale coś projektować, czynić poszukiwania, będą spekulować i kombinować, lub też przeciwnie przeciwstawiać się wszelkim reformom, zachowywać stan istniejący. Jeżeli więc u finansistów i bankierów przeważa skłonność do spekulacji, to skłonności zachowawcze, konserwatywne dominują u rentierów i rolników.

Rozróżnienie to jest bardzo „wygodne" we wszelkich rozważaniach, dotyczących postępowania człowieka w społeczeństwie; ułatwia nam ono również i pogłębia dalszą analizę elity gospodarczej.

Elita gospodarcza, skupiając rolników, przemysłowców, kupców, finansistów, bankierów, faktycznie składa się z osobników wyżej wymienionych dwóch typów psychologicznych. Przewaga jednego z nich nadaje właściwy

charakter elicie i wpływa na jej postępowanie, co w następstwie odbija się na polityce pozytywnej.

Rolnicy, posiadacze własności ziemskiej, rentierzy o instynkcie konserwatywnym, będą starali się zachować stan istniejący i będą zasadniczo w opozycji do projektowanych zmian ostrożnych kupców i przemysłowców, a jeszcze w większym stopniu do śmiałych i ryzykownych inowacyj bankierów, finansistów, „spekulatorów" o rozwiniętym instynkcie kombinacji. Grupa, która będzie silniejsza, względnie potrafi narzucić swój sposób myślenia i działania dwom pozostałym grupom, nada ton całej elicie.

Wszystkie trzy grupy, jako „posiadające", będą w pewnym stopniu zachowawcze, konserwatywne, w stosunku do nieposiadających, czy mniej zamożnych. Przemysłowcy czy kupcy więcej skłonni do nowatorstwa, aniżeli właściciele ziemscy, będą usiłowali podobnie jak ci ostatni zachować kapitał i powiększać go — z tą jednak różnicą, że nie zawahają się nadać mu inną formę. Dla finansisty zupełnie obojętne jest jaką formę przybierze kapitał, byleby był rentowny. W poszukiwaniu jak największej rentowności będzie spekulował, kombinował, wynajdywał nowe możliwości aktywności ludzkiej, inicjował i popierał odkrycia i badania naukowe. Jemu to w szczególności zawdzięcza się postęp techniczny.

Istnienie w elicie tych dwóch zasadniczych grup osobników o różnych mentalnościach daje gwarancje pewnej stałości i równowagi, o ile obie grupy znajdują się w przybliżonym do równości stosunku procentowym. Przewaga jednej z nich narusza równowagę i nadaje elicie charakter zachowawczy lub postępowy ze wszystkiemi jednostronnymi pozytywnymi lub negatywnymi skutkami. Konsekwencje charakteru elity gospodarczej odbijają się w szczególności na postępowaniu nowoczesnych oligarchicznych rządów (M. Makarczyk, M. Ostrogorski, G. Sorel).

Zajmując intratne lub reprezentatywne stanowiska członkowie elity gospodarczej mają również wpływy na ugrupowania społeczne i polityczne. Oni też stają często za kulisami sceny politycznej i reżyserują sztukę, którą artyści, to jest politycy, mają odegrać. Zazdrośnie strzegąc swoich przywilejów, bądź to walcząc między sobą, bądź też współpracując, żądni zysków lub uznania i hołdów, ludzie ci oddają społeczeństwu duże usługi, lub też powodują ogromne straty. Dzięki im nauka zrobiła tak olbrzymie postępy, których świadkami jesteśmy. Bezwzględni w osiągnięciu postawionego sobie celu, zwłaszcza jeśli chodzi o wyeliminowanie konkurencji, nie wahają się budować bogatych laboratoriów, urządzać kosztownych doświadczeń, których rezultaty wykorzystują dla celów własnych. Doświadczenia te jednak i laboratoria służą jednocześnie nauce.

Krytyka podziału dochodu społecznego przez przywódców potężnych związków zawodowych, dezorganizujących niejednokrotnie życie gospodarcze szantażem, strajkami, sabotażem, odnosi ten skutek, że dzięki uzyskaniu zwiększonych zarobków stopa życiowa szerokich warstw społecznych podnosi się.

Organizacje pośredników handlowych lub trustów bankowych, pragnących ciągnąć zyski z linii komunikacyjnej i rozszerzyć wymianę towarów, używają przebiegłych rozumowań i perswazyj, a o ile to nie pomoże wywłaszczają z pomocą państwa prawych właścicieli terenów, przez które linia komunika-

cyjna winna przebiegać. Prawo własności zostaje naruszone, zyski towarzystwa akcyjnego będą duże, ale korzyści linii komunikacyjnej dla sąsiadów wywłaszczonego obywatela, jak i całej okolicy, przez którą linia przebiega, są bezsprzeczne.

Przykłady te ilustrują względną użyteczność elit gospodarczych, ich znaczenie i rolę, jaką odgrywają one w nowoczesnym społeczeństwie.

Jak twierdzi R. Maunier — „po ogólnym opisaniu faktów należy dać konkluzję". Konkluzja będzie przewidywaniem, ponieważ ostatecznym celem studiów obiektywnych winna być akcja: akcja naukowa, metodyczna, oparta na doświadczeniu i obserwacji, kalkulacji i taktyce — a nie chimerycznej wizji. Akcja „mierzona", a nie „inspirowana".

W trakcie naszych rozważań zaznaczyliśmy, iż wszelka akcja oparta na intuicji, natchnieniu, jest zawodną. Akcja oparta na „poznaniu" jest jedynie rozumna, logiczna, pozytywna, naukowa, przewidująca. Przewidywanie jest funkcją naszych wiadomości (A. de Maday). Taka akcja jest właściwa ludziom, którzy przewodzą grupom społecznym. Ludzi tych cechuje „wyższość" w stosunku do grup osobników, z których się wywodzą. Tworzą oni „elitę". Istnienie elit przemysłowców, kupców, bankierów, rentierów i t. d., które określiliśmy wspólnym mianem „elity gospodarczej", jest rysem charakterystycznym nowoczesnego społeczeństwa zróżniczkowanego i cywilizowanego. Elita gospodarcza jest jednym z czynników równowagi społecznej. Daje ona gwarancję dobrobytu materialnego i postępu technicznego, o ile proces infiltracji wciela do niej osobników zdolnych, kulturalnych, inteligentnych „gentlemanów".

Z utylitarnego punktu widzenia procesy formowania się elit gospodarczych i ich cyrkulacja nie powinny napotykać na przeszkody, które by tamowały ich normalny przebieg. Nie zrealizują one wprawdzie w gospodarce narodowej zasady „właściwy człowiek na właściwym miejscu", ale zbliżą wraz z innymi czynnikami organizację społeczeństwa istniejącego do systemu, odpowiadającego najlepiej zmiennym warunkom danego społeczeństwa. Celem ostatecznym nie jest bowiem organizowanie społeczeństwa idealnego (rozważania te wchodzą w zakres metafizyki), ale poznawanie społeczeństw istniejących w „czasie" i „przestrzeni" oraz ustawiczne ulepszanie ich systemów i instytucyj w oparciu o doświadczenie, logikę, rozum.

BIBLIOGRAFIA

Ammon O. — L'ordre social et ses bases naturelles. Paris, 1900.
Bouglé C. — Essais sur le régime des castes. Paris, 1908.
Bousquet G. — Précis de sociologie d'après V. Pareto. Paris, 1925.
„ Vilfredo Pareto. Sa vie et son oeuvre. Paris, 1928.
Bryce J. — Les républiques sud-américaines. Paris, 1915.
Carli F. — L'équilibre des nations. Paris, 1923.
Cuivillier N. — Introduction à la sociologie. Paris, 1936.
Duhamel G. — Textes choisis. Paris, 1937.
Duprat G. L. — Les élites et le prestige. Revue internationale de sociologie, 1935.
Durkheim E. — Sociologie et philosophie. Paris, 1924.
Kolabińska M. — La circulation des élites en France. Thèse. Lausanne, 1912.
Liberek S. — La circulation et la lutte des élites en Pologne. Thèse, Lausanne, 1936.
Maday de A. — Introduction à la sociologie. Paris, 1937.
Makarczyk M. — Les oligarchies modernes. Thèse. Lausanne, 1931.

Stanisław Szczygielski (Francja)

Paryska wizyta polskich pisarzy

Życie Paryża płynie nurtem bystrym. Nie można uskarżać się — zwłaszcza w ostatnich miesiącach — na brak sensacyj literackich. Bardzo ożywiony sezon nagród literackich w końcu roku ubiegłego, przyjazd Gabrieli Mistral, nowej laureatki Nobla, na koniec zapowiedziana już parę tygodni przedtem wizyta polskich pisarzy, którzy przybyli do Paryża w ostatnich dniach stycznia, zaproszeni przez rząd francuski — oto kilka ważniejszych wydarzeń w tutejszym świecie literackim, które znalazły bardzo żywy oddźwięk w licznych, bardzo nawet licznych czasopismach literackich. Delegacja polskich pisarzy liczyła cztery osoby. W jej skład wchodzili: Zofia Nałkowska, prezes Towarzystwa Polsko-Francuskiego, Jarosław Iwaszkiewicz, prezes Związku Literatów i Pisarzy Polskich oraz dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie, autor „Niekochanej" Adolf Rudnicki i Tadeusz Breza.

Pobyt w Paryżu tych pisarzy, którzy cały okres okupacji przetrwali w kraju, nie ograniczył się do oficjalnych wizyt, mających na celu nawiązanie kontaktu ze światem literackim Francji. Amitié franco-polonaise, na czele której stoi Wysoki Komisarz dla spraw energii atomowej prof. Joliot-Curie i jego żona Irena. Polski Czerwony Krzyż i Polska YMCA zorganizowały trzy wieczory, na których publiczność francuska i polska mogła się zapoznać z obrazem Polski cierpiącej i walczącej oraz z życiem, a częściowo i dorobkiem kulturalnym Polski Odrodzonej. Na pierwszej z tych imprez Irena Krzywicka, delegatka ministerstwa kultury i sztuki na Francję, w zastępstwie niedysponowanej Nałkowskiej odczytała jej szkic o literaturze Polski podziemnej. Szkic ten, obliczony na publiczność francuską, nie zawierał dla słuchacza polskiego żadnych rewelacyj. Słyszeliśmy o atmosferze życia pod okupacją, o sieci szkolnictwa, która szybko pokryła cały kraj (z wyjątkiem terenów przyłączonych do Rzeszy), o rozwoju i działalności prasy tajnej. Prelegentka podniosła jeden moment ciekawy: poetów wybitniejszych — za wyjątkiem Iwaszkiewicza — fala wojny wyrzuciła na Zachód lub na Wschód i rozproszyła po całym niemal

Maunier F. — Précis d'un traité de sociologie. Paris, 1943.
Marx K. — Le capital. Paris, 1900.
Michels R. — Les partis politiques. Paris, 1914.
Muret M. — Grandeur des élites. Paris, 1939.
Naville A. — Nouvelle classification des sciences. Paris, 1920.
Novicow J. — Conscience et volonté sociales. Paris, 1897.
Ostrogorski M. — La démocratie et l'organisation des partis politiques. Paris, 1903.
Pareto V. — Traité de sociologie générale. Paris, 1926.
„ Les systèmes socialistes. Paris, 1926.
Reynaud P. L. — Le facteur humain dans l'évolution économique. Paris, 1942.
Sorel G. — Réflexions sur la violence. Paris, 1908.
Sorokin P. A. — Les théories sociologiques contemporaines. Paris, 1938.
Srokowski K. — Elita bolszewicka. Kraków, 1927.
Tarde G. — Etude de psychologie sociale. Paris, 1898.

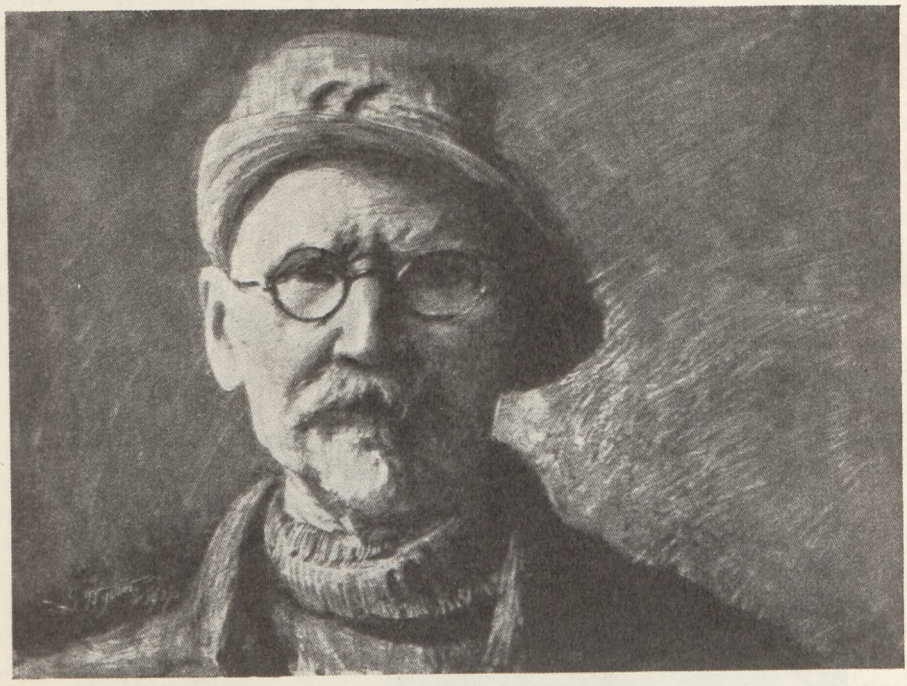

Leon Wyczółkowski — „Sztuka". Autoportret

Jacek Malczewski

świecie, prozaicy zostali w większości w kraju. Niezwykle ciężkie warunki, narzucone przez okupację, nie zezwoliły im zresztą na rozwinięcie działalności literackiej. Jedynie nowela Jerzego Andrzejewskiego „Przed sądem" wywołała ożywione dyskusje ze względu na poruszony w niej problem zdrady jako ucieczki przed samotnością cierpienia. Poza tym wymieniła Nałkowska jeszcze jedno nazwisko Poli Gojawiczyńskiej, której nową powieść „Krata" wydała niedawno spółdzielnia „Czytelnik".

Interesującą pogadankę o literaturze młodych wygłosił Tadeusz Breza. W literaturze tej wysuwają się na czoło tendencje realistyczne, mocniejsze zresztą jako program i wyznanie wiary, aniżeli jako osiągnięcia twórcze. Wachlarz ideologiczny młodych rozciąga się od marksistów, z których jako odłam skrajny wymienił Breza komunistów, aż do katolików. Najbardziej aktywni są marksiści i katolicy. Mam wrażenie zresztą, że uwaga ta odnosiła się w pierwszym rzędzie do publicystyki. Topograficznie ideologie te centralizują się następująco: Kraków — liberałowie, Łódź — marksiści, Poznań i Lublin — katolicy. O Warszawie nie było mowy. Młodzi nie próżnowali w czasie wojny. Niektórzy z nich mają 3—4 tomy, gotowe do druku. Trudności wydawnicze są jednak nadal olbrzymie. Jedynie fragmenty powieściowe lub opowiadania ukazują się w licznych czasopismach literackich, na wydanie całych tomów trzeba cierpliwie czekać w długim ogonku. Tak więc do lat okupacji, kiedy ruch wydawniczy zupełnie nie istniał, trzeba jeszcze dodać lekką ręką co najmniej rok spóźnienia w ukazaniu się książki na rynku. Nie każde z tych dzieł wytrzyma wartkie tempo dzisiejszego życia literackiego. Niektóre problemy stracą zapewne swą aktualność, na ich miejsce pojawią się nowe. Jako najwybitniejszych poetów wymienił Breza: Jerzego Putramenta, Adama Ważyka, Mieczysława Jastruna. Z prozaików wspomniał: Wojciecha Żukrowskiego, Stanisława Dygata, Kazimierza Brandysa, Adolfa Rudnickiego i Jerzego Andrzejewskiego. Odczyt był ożywiony ciekawymi i nieznanymi nam scenami z życia i pracy pisarzy w czasie okupacji. Niewielu z nas także wiedziało o zorganizowaniu uroczystego pogrzebu Wojciecha Bąka w oswobodzonym Poznaniu. Uroczystość ta zmieniła zresztą zasadniczo swój charakter, gdy przybył na nią... sam poeta, uwolniony właśnie z obozu.

Jarosław Iwaszkiewicz wygłosił odczyt o teatrze polskim. Rozwinął się on pod znakiem romantyzmu — tego romantyzmu, który nigdy właściwie nie oderwał się od polskiej rzeczywistości, lecz zawsze krążył w orbicie myśli narodowej i problemów narodowych. Dlatego i to słowo „romantyzm" zawiera w sobie w odniesieniu do naszej literatury sens dodatni, podczas gdy np. we Francji ma ono raczej znaczenie ujemne. Teatr romantyczny przeżywa dziś w Polsce swój renesans, problematyka jego bowiem nabrała na nowo znamion aktualnych i zahacza mocno o nową polską rzeczywistość. Teatry polskie grają dziś sztuki polskich romantyków, przede wszystkim Słowackiego i Wyspiańskiego. Że istnieją jednocześnie i na tym odcinku literatury tendencje mocno realistyczne, o czym świadczy powodzenie naturalistycznych sztuk Zapolskiej, o tym Iwaszkiewicz nie wspomniał. Nie mieściłoby się to bowiem w ramach ogólnej koncepcji odczytu.

Ze współczesnych dramaturgów wymienił jedynie Jerzego Zawieyskiego i wspomniał o dwóch jego dramatach: „Mąż doskonały" i „Masław".

Iwaszkiewicz przemawiał raz jeszcze przed publicznością polską. Odsunąwszy na bok zapowiedziany temat „Rok pracy kulturalnej w Polsce odrodzonej", mówił o własnych przeżyciach i podróżach. Zaczął od Sylwestra 1944. W domu poety, właściciela niewielkiego gospodarstwa w Podkowie Leśnej, zebrała się w pokoju chorej Poli Gojawiczyńskiej grupa pisarzy. Wieczór spędzono na czytaniu „Elektry" Giradoux w przekładzie Iwaszkiewicza. Choć Żebrak w scenie końcowej utworu zapowiadał „Świtanie", nikt po tylu już zawodnych obliczeniach nie wyrażał nadziei, że rok ten będzie może ostatnim rokiem niewoli. Jednakże już styczeń przyniósł niespodziewanie wyzwolenie. Wkrótce podjęto prace nad odbudową życia kulturalnego i literackiego. Poeta kreśli obraz zburzonej Warszawy, mówi o życiu literackim Łodzi, o swoim pobycie w bardzo zniszczonym Poznaniu, gdzie założył „Życie literackie", o wieczorze autorskim w małym miasteczku Koninie, w którym znajduje się jedna z bogatszych dziś bibliotek, skrzętnie gromadzona przez ... stolarza oraz gimnazjum, czynne od 8 rano do 8 wieczór, o Krakowie i Zjeździe Literatów, o krótkiej wizycie w Zakopanym i spotkaniu z wiecznie uśmiechniętym Makuszyńskim na Krupówkach, o wycieczce na Śląsk i nowej wybitnej śpiewaczce Wiktorii Kalma, góralce odkrytej i wyszkolonej przez Didura, na koniec o otwarciu „Lillą Wenedą" Słowackiego Teatru Polskiego w Warszawie w rocznicę oswobodzenia Warszawy i o ciężarówkach teatralnych, rozwożących widzów po przedstawieniu do poszczególnych dzielnic miasta. Podkreślił zasługi dyrektora Muzeum Narodowego, prof. Lorenza, który uratował wiele cennych zabytków, obrazów, rękopisów. Wspomniał o dwóch „turystach", którzy pierwsi i jedyni dotąd wyrazili pragnienie zwiedzenia jego gabinetu pisarskiego; byli to dwaj zwykli żołnierze sowieccy. Nawiasowo dodał, że słowo „pisarz" budzi u wszystkich żołnierzy sowieckich wielki szacunek i uznanie; jego własny dom był otaczany specjalną opieką. Prosty i bezpośredni, a jednocześnie pełen humoru sposób opowiadania, bogactwo interesujących a konkretnych faktów i szczegółów, barwny, obrazowy i żywy styl złożyły się w sumie na piękny wieczór.

Cały zespół pisarzy wystąpił przed licznie zebraną Polonią paryską z wieczorem autorskim. Zofia Nałkowska odczytała fragment swej najnowszej noweli „Medaliony", drukowanej niedawno w paryskiej „Gazecie Polskiej". Opowiadanie to ukazuje szereg scen z obozów koncentracyjnych, uderzających swym surowym, a nieraz nawet ponurem realizmem faktów, niemal faktografią, i równie surową prozą, odartą celowo ze wszystkich nadbudówek stylistycznych, prozą dokumentu.

Opowiadanie Brezy „Próby na nic" ukazało wycinek z powstania warszawskiego, które autor przeżył. Kontrast między nadzieją walczących, którzy przygotowywali na dzień wyzwolenia stolicy przedstawienie „Warszawianki", a znanym nam tragicznym finałem powstania był to pomysł niewątpliwie ciekawy i mocny, dramatyczny; nie wyczerpał go jednak autor dostatecznie.

Adolf Rudnicki, uważany dziś za jednego z czołowych prozaików, unikał wystąpień oficjalnych. Tego wieczoru ukazał się po raz pierwszy z nowelą-wspomnieniem „Major Hubert z Armii Andersa". Dotknął on tu najaktualniejszego i najboleśniejszego bodaj problemu Polski dzisiejszej: dwukierunkowości politycznej myśli polskiej; problem ten pogłębił jeszcze w noweli motyw przyjaźni. Dwóch przyjaciół artystów: malarz i poeta musi się rozejść, bo ich koncepcje rzeczywistości są biegunowo różne, bo koncepcja jednego z nich

jest fałszywa. Do pracy nad odbudową ojczyzny, leżącej w gruzach, nie może stanąć ten, który dla drugiego był ideałem człowieka i ideałem Polaka. Odchodzi wewnętrznie złamany, skazany przez siebie na tułaczkę. Poeta idzie w drugą stronę z bolesnym ściśnięciem serca; rozumie tamtego, ale cierpi tym mocniej. Ktoś rzucił uwagę: „Sprytna propaganda!" Nie miał chyba racji. Nie wiedział, że nowela nie została napisana dla celów propagandowych, specjalnie na wieczór autorski za granicą, że jest w niej — jak mówią — mocny podkład przeżyć własnych pisarza, wymienia się nawet nazwiska — że była drukowana w „Kuźnicy" już na początku listopada zeszłego roku. A może nie chciał zrozumieć, że przed artystą stanął po prostu problem, gorzki, bolesny, głęboki, nienowy, a wstrząsający — problem rozdarcia duszy polskiej.

Poezję reprezentował jedynie Iwaszkiewicz, który recytował trzy krótkie wiersze, powstałe w Polsce i jeden dłuższy napisany przed paru dniami tutaj: „Mourir à Paris". Niepowszednie myśli, nowe przeżycia i odczucia współbrzmiały harmonijnie ze skamandrową, klasyczną i subtelną formą.

Na ogół wieczór nie zachwycił. Nazwiska-firmy zapowiadały dużo, kazały się spodziewać nadzwyczajności. Oczekiwano zbyt wiele. Ujrzano ludzi prostych, bezpośrednich, szczerych, mocujących się jeszcze ze zmorą przeżyć niedawnych, uderzających w struny tematyczne tak bardzo już znane i popularne, nie silących się na oryginalność formy. Zetknięto się tu z problemami jakby obcymi, bo — trzeba przyznać — uczucia emigracji są już nieco stępione, zdolność reagowania zmniejszona, kontakt z rzeczywistością polską mocno nadszarpnięty, jeśli nie zerwany. Proza, którąśmy słyszeli, ma poprzez obecność faktów wyraźny akcent realistyczny, ma nawet posmak autentyzmu. Stoimy przed nową epoką realizmu w literaturzu. Czy ten realizm będzie twórczy, czy potrafi on dać nową syntezę rzeczywistości?

Różnica pomiędzy słowem ludu a słowem pisanem i uczonem jest ta, że lud myśli postaciami.

A umiejętnik postacie do myśli swoich dorabia.

Że więc tylko przez harmonię tradycyjną pracy narodu ten dyalog, ta rozmowa myśli ludowej z myślą społeczeństwa odbywa się. Rozmowy tej ujęcie w harmonię sztuki, rękodzieł, rzemiosł i rolnictwa stanowi zdrowie narodowe — stanowi przytomność i obecność — byt.

Z „PROMETHIDIONA" C. K. Norwida

Janusz Kucharski (Szwajcaria)

Ballada o cichej wiosce

I

Nad cichą, jasną, wodą —
Wśród wierzb cichego szeptu,
Leżała cicha wioska —
Biała, a złota z wierzchu.

Nocami nad nią chodził,
Gdy cisi spali ludzie,
Księżyc i psy rozmarzał
W zacisznej śpiące budzie.

Rankami — ciche słońce,
W sukience z mgielnej waty,
Chodziło zerkać w okna
I w dziuple wierzb garbatych.

W dnie — ciche kos brzęczenie
Wisiało nad polami
Dopóki ich cień długi
Drzew z miedzy nie poplamił.

— — — — — — —

Tak żyła wioska latem...
To było jeszcze w lecie —
Choć czasem już żurawie
Płakały z chmur, że „wrzesień"

II

Na zgliszczach cichej wioski
Leżała czarna cisza,
A w niej, na zeschłym drzewie,
Cień długi się kołysał...

III

Lecz życie szło. Czerń zgliszczy
Przeplotła żółtość desek,
Bo miała nadejść zima —
Mijała właśnie jesień...

I dalej była cicha
Ta wioska — tylko czasem
Strzał targał nią i echem
Rechotał ponad lasem...

Płakały cicho matki —
Płakały cicho żony —
A płacz się cichy zmieniał
W szept jeszcze cichszy: — oni...

Aż przyszedł dzień i z ludźmi
Musiała spłonąć wioska —
Gdyż wierna była ciszy
I w ciszy chciała zostać...

Stanisław Wyspiański. Kreda

Michał Boruciński — „Niestowarzyszeni". Głowa młodego Hucuła

Władysław Lam — „Plastyka". Wiejski chłopak

Stanisław Wyspiański. Kreda

Władysław Łuczak (Szwajcaria)

Klucze

Śpiewające ptaków klucze
Ciągną w chmurach wiatrów konie —
Takim kluczem cię nauczę,
Jak otwierać ludzkie dłonie...

Tym otworzę dwa pokoje:
Twego serca — mojej duszy — —
Ten jest twoim, a ten moim,
A zrobione są z tej gruszy...

Jednym kluczem poodmykam
Muślinowe snów komnaty —
Drugim (z cicha) pozamykam
Twoich oczu — moje kwiaty...

Innym kluczem — od tęsknoty —
Poroztwieram serc pokoje — —
Od tęsknoty klucz jest złoty — —
Tego oddać ci się boję...

Od milczenia ciężkie kłódki
Pootwierać cię nauczę...
Bo na wszystkie ludzkie smutki
Są wysokie ptaków klucze...

* * *

Bracia Kordiczowie

Przyszli któregoś dnia, z wiosną, do południa.

Schodziło się do nas po stromych stopniach, do piwnicy. W piwnicy było gorąco, gdyż pod stropem pełzały grube rury z parą, w których wiecznie coś brzęczało. Jakby ktoś potrząsał kamykami w blaszanym pudełku. Pod jedną ścianą stały trzy ogromne baseny betonowe, do których wsypywaliśmy obrane z łupin kartofle. Kartofle były białe i pachnące skrobią. Woda burzyła się za każdym wysypanym wiadrem, potem się pieniła, a gdy basen już był pełny, uciszała się i nabierała płonego posmaku. Potem wpadali z hałasem kucharze z góry, nabierali szuflami kartofle do ogromnych kubłów i wynosili po schodach do kuchni. Wtedy podnosiliśmy głowy i liczyliśmy, czy nas nie oszukują, czy nie wynoszą za dużo kubłów.

Pod drugą ścianą stał tylko jeden olbrzymi basen z gorącą wodą, w której zmywał naczynia wygadany Francuz o wyłupiastym lewym oku. W owym basenie topiono także szczury. Francuz brał dużą skrzynię ze złapanym szczurem i wywracał ją nad gorącą wodą. Szczur nie chciał wyjść. Wtedy on zachęcał go jakimiś pieszczotliwymi słowami w paryskim „argot" i potrząsał gwałtownie skrzynią. Naokoło zaś skupiali się wszyscy moi koledzy i przeraźliwie chudy kapo. A szczur wciąż czepiał się kurczowo ścianek skrzyni i nie chciał wyjść. Kapo pokazywał jednak, co potrafi. Wszak przecież przewędrował cały świat trzy razy naokoło na niemieckich statkach handlowych i pasażerskich. Był świadkiem trzęsienia ziemi w Japonii, widział z morza walące się i trawione płomieniami miasto Jokohamę, opisywał nam w plastyczny i obrazowy sposób miłość, uprawianą z murzynkami w portach afrykańskich, opowiadał nam o swoich przygodach w publicznych domach portowych w Południowej Ameryce, jadał smażone glisty w małych portach chińskich, stracił zęby w jakiejś niesłychanej bójce z Malajami gdzieś w Indiach, chorował na tyfus w Australii, topił się w zatoce Biskajskiej i hodował papugi w Niemczech. Aż w końcu Gestapo umieściło go w obozie koncentracyjnym. Jako gorliwego wyznawcę wiary i religii komunistycznej. Komunizm był bowiem dla niego nie stronnictwem politycznym, lecz objawieniem nowej religii, która także ma swoich świętych. On zaliczał się do owych świętych komunistycznych.

Otóż kapo nie bał się szczurów.

Kapo bał się tylko ludzi i wobec nich zamieniał się w szczura, wytrząsanego ze skrzyni do gorącej wody w basenie. Kapo bał się ludzi silnych, lecz wobec słabszych urastał w pychę i brutalność. Podobnie jak wobec tamtego szczura, którego pomywacz Francuz zamierzał utopić w basenie. W ten jedynie sposób usiłował maskować i tuszować bolesny kompleks niższości.

Kapo nie bał się szczurów i jak nam opowiadał, brał je na swoich statkach w dłonie i ciskał przez burtę w morze. Myśmy udawali ogromne zdumienie. A kiedy puszył się i nadymał, pytaliśmy z udanym podziwem w głosie:

— Tak gołą dłonią?...

— Głupiś! A czym, myślisz? Przez jedwabną chusteczkę?

— A nie ugryzł?

— Ho, ho! A jeszcze jak?!... Oto, widzisz? — i podsuwał pod nasze oczy wytatuowane ramię, pokazując nam drobne, czerwone blizny na kantach dłoni.

Potrząsaliśmy głowami w niesłychanym podziwie, a on puszył się jeszcze bardziej.

— A gdy takiego szczura rzuciłeś do morza, to on zaraz poszedł na dno? — pytał ktoś z kolegów.

— Głupiś!... Rekin przypłynął i połknął.

— Rekin!... Chryste Boże!... Taki prawdziwy rekin?

— Głupiś! Myślisz, że wypchany trocinami!... Ile ja rekinów nabiłem!... Ani „esmani" nie zdołali wykończyć w naszym obozie tylu ludzi, ile ja rekinów wykończyłem! — zaczął się znowu chwalić. — Złapaliśmy takiego byd-

laka na gruby hak, na haku było kęs ścierwa, rekina wywlekliśmy na pokład, otwierało mu się paszczę drągami, a ja mu w niej stawiałem na sztorc gruby kawał drzewa, z obu stron ostro zakończony. Potem wrzucaliśmy go w morze!... Niech zdycha, bestia!... Mojego przyjaciela pożarł taki „Sauhund" przy brzegach Australii!... I rekin zdychał z głodu!... Jak nasi koledzy zdychają w obozie!... — i ciskał ciężkim przekleństwem.

Ponieważ więc nie bał się szczurów, sięgał dłonią do skrzyni i wywlekał nieszczęśnika za ogon. Szczur pisnął jak małe, duszone dziecko i już ciskał się w wodzie. Przebierał ogromnie szybko łapkami, pływał od brzegu basenu do brzegu, miotał się na wszystkie strony, rzucał rozpaczliwie, usiłował wydrapać się po śliskiej ścianie, a w jego małych oczkach ślepiło tak straszne przerażenie, tak wielki lęk o życie i tyle błagania o litość, że kto wrażliwszy z nas odchodził i nie chciał patrzeć na jego konanie.

Kapo trzymał żelazny pręt w dłoni i popychał broniącego się szczura, kiedy uczepił się drobnej szczelinki w ścianie, by odpocząć lub by przynajmniej łudzić się nadzieją, że już uratowany.

— Los! Los, du blöder Hund!... — wołał, odpychał go od ściany, a jego szare zjadliwe oczy płonęły ekstazą. Szczur rzucał się wtedy wpław na drugi brzeg basenu, zawracał, kołował, a jego łapki rozgarniały wodę coraz wolniej i wolniej, w jego małych, paciorkowych, czarnych oczach tężało coraz większe przerażenie i coraz większy strach, taki sam potworny strach, jak u człowieka leżącego na ziemi, kiedy zbliża się „esman", by mu skoczyć nogami w podkutych butach na klatkę piersiową i załamać ją z chrzęstem.

— Wyobraźcie sobie, że to Hitler się topi, Himmler, Rosenberg, że to jeden z tych przeklętych łajdaków „esmańskich"!... Widzicie?... To jest nasz „Blockführer"!... Giń, zdychaj, ty bydlaku!... — krzyczał kapo i machał ramionami nad tonącym szczurem. Jakby jakieś zaklęcie sprawował.

Szczur dobywał ostatka sił, jego ruchy były coraz bardziej wolne, coraz bardziej ociężałe. Aż w pewnej chwili jeszcze raz poderwał się i zrezygnowany jął powoli tonąć...

Wtedy kapo ocierał spocone czoło, ocierał oślinione usta i siadał ciężko na ławę.

— Los! Los!... Wir brauchen Kartoffel!... — wołał na nas chrapliwie i dyszał ciężko, jakby ta walka szczura ze śmiercią była jego walką. Francuz zaś mruczał coś do siebie i wyławiał topielca wielką chochlą, którą zwykle nabierano zupę z kotłów i wlewano na talerze „esmańskie".

Nad nami mżyło elektryczne światło w zaduchu zgniłych kartofli, obierzyn i stęchłej wilgoci, mżyło od godziny trzeciej rano do godziny szóstej wieczorem, brzęczała para w rurach, syczała w ogromnym zbiorniku przy schodach, a przed nami leżały kupy kartofli. Myśmy zaś siedzieli rzędem na ławach i obieraliśmy je szybko, bardzo szybko. Przeżycie szczurzej śmierci zdołało się już zatrzeć, bo nieustępująca senność znowu kładła nam się ołowiem na powieki i trzeba było walczyć z nią, jak z kimś fizycznie od nas silniejszym. A równocześnie trzeba było śpieszyć się, trzeba było ogromnie śpieszyć się, bo inaczej nie nadążymy.

— Los! Los!... Wir brauchen Kartoffel! — wołał za nami kapo i patrzył, kogo tu uderzyć pięścią w kark, jeżeli znienacka znieruchomieje drobny,

Jan Zamoyski. „Bractwo Św. Łukasza"

Janina Prószyńska

mechaniczny, szybki ruch palców, jeżeli kartofel wypadnie z jednej dłoni, a nóż z drugiej, ogolona głowa zaś zacznie chylić się i kiwać śmiesznym, podrywanym ruchem.

— Los! Los! Wir brauchen Kartoffel!... — skrzeczał głos jego, a myśmy klęli w myślach naszą dolę, kapa, kartofle, cały świat i nasze życie.

I znowu mijały jednostajnie dni szare, wyzbyte wszelkiej radości i wszelkiej ułudy radości, dni tak ponure i posępne, że wydawały się już nie miarą czasu, lecz samym czasem bez początku i bez końca. Mój sąsiad, tkacz z Sudetów, o twarzy zdumionego chłopca, usiłował mi tłumaczyć, że czas posiada swój początek i swój koniec. Że czas, to pojęcie względne. Że w ogóle nie ma czasu, tylko jest w nas złudzenie czasu. I że to jest jego filozofia, a wszelkie Einsteiny i Kanty i inne filozofy niech się wypchają. Cuchnącą, zgniłą mierzwą. Bo on dobrze wie. On już siedzi w obozie siedem lat, to dobrze wie. Gdyby Einstein lub Kant, lub chociażby Hegel siedział rok tylko w obozie koncentracyjnym, to by nie pletli takich banialuk. Nie ma więc czasu, nie ma Boga, nie ma niczego, tylko jest zło, głód, ból, krzywda ludzka, szatan i piekło. Poza tym nie ma innych absolutnych wartości.

— A ludzie? — pytałem.

Podnosił na mnie małe, zaczerwienione z niewyspania oczy, mrugał nimi szybko, a potem klepał mnie po ramieniu i mówił:

— Tak, ty masz słuszność, ty czasem miewasz słuszność. Ludzie są, lecz do nich należy tylko moja matka, moja córeczka Erika i ty!...

— Dlaczego ja? — pytałem skromnie.

— Halt's Maul, a obieraj kartofle!... — odpowiedział szorstko. — Ty nic nie wiesz, ty jesteś głupi!... Ale nie gniewaj się na mnie!... Wszak dobrze wiesz, nie?...

— Lecz powiedz mi, Hans — zapytałem razu jednego — skąd u ciebie Einstein, Kant i Hegel?

— Ty masz ptaka w głowie! — mruknął z pogardą i postukał się palcem po czole.

Mijały więc dni szare, jednostajne, tępe, przegradzane topieniem szczurów w basenie i rozmową z moim przyjacielem o teorii względności. I kiedy pewnego wiosennego dnia kolega Francuz znowu złapał szczura w drewnianą pułapkę i znowu zamierzał go topić w gorącej wodzie w basenie, przyszli do nas trzej bracia Kordiczowie. Jeden z nich był chudy, o długim nosie, blady, kaszlący. Ten miał suchoty. Drugi był tęgi, silny, barczysty, o płaskiej twarzy, na której malowało się zadowolenie. Trzeci zasię był szczupły o bystrych, inteligentnych oczach.

— Jesteśmy bracia Kordiczowie — zameldował gruby kapowi.

— Kto was tu posłał? Ja was nie potrzebuję!

Gruby uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął z kieszeni pomiętą kartkę. Kapo rozwinął ją, przeczytał z nabożeństwem i spojrzał z szacunkiem na trzech braci Kordiczów.

— Macie pierońską protekcję! — mruknął. — No siadajcie, będziecie kartofle obierać. No, co jest z tym szczurem?

Francuz czekał przy basenie. Czekał, dopóki kapo nie załatwi sprawy z trzema przybyszami. Teraz otworzył pudło i jął wytrząsać szczura. I znowu

wszyscy zgromadzili się koło basenu i znów wszyscy patrzyli łakomie i radowali się głośno z niezwykłego widowiska. Szczur — jak zwykle — czepiał się rozpaczliwie pęknięć w ścianach pudła i nie chciał zsunąć się do wody. Kapo zakasał rękaw koszuli, ujął go za ogon, pociągnął i cisnął do wody. Woda plusnęła wysoko, szczur pisnął, a zebrani przy basenie jęli teraz krzyczeć i radować się hałaśliwie. Trzej bracia Kordiczowie również podeszli do basenu. Nachylili się z boku i patrzyli. Szczur pływał jeszcze szybko, zwinnie, burzył wodę za sobą, nawracał, próbował wydrapać się na ścianę, znowu śpieszył do drugiego brzegu, patrzał, w jego czarnych, drobnych, kłujących oczach rosło coraz większe przerażenie i coraz większy strach. Kapo popadał w swoją ekstazę. Krzyczał, bił się dłońmi po udach, trącał broniącego się szczura, ciskał przekleństwami, podniecał się do zapamiętania, a ludzie koło niego skupieni krzyczeli na równi z nim i na równi z nim przeżywali ekstatywną radość z zadawania śmierci komuś żywemu.

Trzej bracia Kordiczowie patrzyli na wszystko w zdumieniu. Suchotnik wykrzywił boleśnie twarz i w pewnej chwili zasłonił ją bezwiednie dłońmi. Lecz nie odchodził. Tamten gruby uśmiechał się wciąż jakby bezmyślnie, tylko koło jego ust przebiegały dziwne drgawki. A ten trzeci o inteligentnych oczach patrzył spokojnie, nachmurzony, w skupieniu. W pewnej chwili odwrócił się, rozejrzał po piwnicy. W kącie na stole stał spory garniec metalowy. Poszedł szybko do stołu, wziął garniec, wrócił, gwałtownym ruchem nabrał weń wody i niespodziewanie nakrył nim broniącego się szczur. Pchnął mocno dłońmi i garnek z uwięzionym szczurem poszedł na dno.

— Albo go zabijcie od razu, albo puśćcie na wolność! — rzekł twardo łamaną niemczyzną

I nic. Wszyscy spojrzeli na niego w zdumieniu. Nawet kapo. Jakże śmiał zepsuć tak piękną zabawę? Co to znaczy? Kiż diadeł?...

— Masz słuszność! — rzekł znienacka mój przyjaciel Hans ze Sudetów. I poszedł na ławę. Za nim reszta. Kapo ostatni. Widać było, że stanął przed jakąś zagadką. Że go ta zagadka niepokoi. Że po prostu nie może zrozumieć, co tu się stało. Wszystkie logiczne przesłanki diabli wzięli, wszystkie utarte sposoby reagowania zawiodły i oto teraz wraca pobity do ławy, podobnie jak wszyscy wracają. I nie umie zaprotestować. Kiż diabli?...

— To był przecież szczur! — rzekł niepewnie i popatrzył z niepokojem w nasze oczy.

— A właśnie szczur! — wybuchnął znienacka mój przyjaciel Hans. — Lecz ten szczur, to żyjące stworzenie, które ma duszę, a ty, kapo, ty jej nie masz!... Ty jesteś szczur bez duszy!... Ty jesteś truchło cuchnące!...

Nieoczekiwany wybuch Hansa i jego wzburzone słowa poraziły wolę kapa. Mówi się potocznie, że w takich wypadkach człowiek zapomina języka w gębie. Tu było coś więcej. Tutaj wypadły z trybów jakieś kółeczka w rozumowaniu kapa, tu się coś znienacka rozleciało na strzępy. Kompleks niższości przywalił go, przytłoczył do ławy. Nie umiał się z niego wyzwolić.

— Los! Los!... — rzucił jakimś zduszonym głosem. — Wir brauchen Kartoffel!...

— Dreck!... — warknął Hans i cisnął obranym kartoflem tak mocno w cebrzyk, że brudna woda trysła wysoko i skropiła chudą twarz kapa.

— Wy wszystka... jesteście... glupia wariaty... — rzekł spokojnie Francuz i jął chochlą wyławiać utopionego szczura z basenu.

Francuz Roger miał słuszność.

Wszyscy byliśmy już bowiem wariatami, wszyscy nosiliśmy w sobie utajone kompleksy i niedocieczone urazy psychiczne, wszyscy byliśmy już histerykami i sadystami i diabeł wie, kim jeszcze. Byliśmy już ludźmi, którzy z przerażeniem stanęli przed horror vacuum, i teraz wszyscy byliśmy podobni do tamtego szczura, oszalałego ze strachu przed śmiercią. Nie tylko kapo był do niego podobny, przeciwnie — my wszyscy byliśmy już owymi szczurami, skazanymi na powolne konanie.

A przeżywanie sadystycznej radości na widok zadawanej powolnie śmierci szczurowi nie było niczym innym, jak tylko kompensatą za nasz strach przed powolną śmiercią zadawaną olbrzymiemu tłumowi skazańców przez ludzi, których szatan spłodził.

I teraz znienacka przyszli do nas trzej bracia Kordiczowie.

Ten pierwszy Kordicz, suchotnik, był dla nas niczym. A może przeciwnie — był dla nas utajoną, podświadomą radością, że nie my jesteśmy suchotnikami, tylko on. Że nie my dławimy się suchym, świszczącym kaszlem, że nie nasze nosy są podobne do jego nosa, że nie nam perli się drobny pot na skroniach, tylko jemu. Jemu już śmierć pisana bardzo wyraźnie, a nam także, lecz my o niej nie wiemy, kiedy nadejdzie. Może jutro, a może za rok, a może, może doczekamy się wolności!... Przeklęte Amerykany, że tak długo ociągają się ze swoją ofensywą!... My tu chyba zdechniemy, zanim oni się zdecydują na porażenie ludzi, przez szatana spłodzonych!... A może się doczekamy?... Kto wie?...

Czepialiśmy się tej anemicznej nadziei, jak tamten szczur czepiał się pazurkami szczelin w ścianach swej pułapki, kiedy Roger wytrząsał go nad basenem.

Ten drugi Kordicz ze swoim głupkowato-uprzejmym uśmiechem na płaskiej twarzy był nam również niczym. Irytowała nas wprawdzie jego pogoda na twarzy, jego podobieństwo do spasłego, tęgiego wieprzaka, który jest zadowolony ze swego bytowania i który godzi się ze wszystkim. Nawet ze śmiercią w obozie, a której, łajdak, gotów w ślepia patrzeć swym rozmazanym uśmiechem. Lecz równocześnie pogoda jego chudziutkiego ducha rozbrajała nas i poniekąd uciszała. W sumie więc, przy zestawieniu tych dwóch znoszących się sprzeczności był nam niczym. Był nam tylko jakimś tam Kordiczem, który przyszedł i odejdzie kiedyś, a garbaty pies ze złamaną nogą, jak to określił mój sąsiad Hiszpan, nie zmartwi się z tego powodu.

Ten trzeci Kordicz miał śliczne imię.

— Jak tobie na imię? — zapytałem, urzeczony jego dziwnie mocnym, spokojnym i skupionym spojrzeniem.

— Jarda! Matka wołała na mnie „Jarda“ i jeżeli chcesz, nazywaj mnie także Jardą.

— A co to jest „Jarda“?

Oczy jego rozbłysły nieoczekiwanie wewnętrznym ogniem.

— To jest wyraz pochodny od nazwy naszego morza. Wiesz, od naszego morza. Nie od italskiego!... Widziałeś kiedy nasze morze?

— Adriatyk?

— Tak! To jego druga nazwa, narzucona... Czy wiesz jakie ono błękitne?... I jak ono szumi?...

— Nie wiem, bo ja mam swoje Beskidy.

— To nic!... Ty masz Beskidy, ja mam swój Jadran.

— Los! Los! Wir brauchen Kartoffel!... — zaskrzeczał głos kapa nad nami i rozgonił nasze głośne marzenia o urodzie Beskidów i Jadranu.

Zaprzyjaźniłem się z Jardą.

Z Jardą zaprzyjaźnili się wszyscy moi koledzy w piwnicy, nawet kapo, lecz ja chyba najbardziej. Jarda był mocny, Jarda był bardzo mocny. On na wszystkie sprawy patrzył z wyniosłym, pobłażliwym uśmiechem. Kiedy słuchał czyjejś rozmowy lub czyjegoś opowiadania, ciemne jego oczy stawały się podobne do dwóch dłoni, które podchodzą złożone, jak do modlitwy, do jakiejś ciężkiej zasłony i rozsuwają jej fałdy na boki. Powoli, spokojnie, coraz szerzej i szerzej, aż w końcu ramiona rozciągają się na kształt krzyża i przed oczyma nie ma już tajemnicy. Oczy Jardy były wspaniałe!... Oczy Jardy były tak piękne i tak mocne i męskie, i takie wnikliwe, i tak bardzo ludzkie, że można było patrzeć w nie nienasycenie. W oczach jego była niepojęta mądrość serca i niepojęty urok morza. Oczy jego zdawały się podchodzić do człowieka, podnosić jego znużoną głowę i głaskać, jak wzruszony ojciec głaszcze głowę dziecka chropowatą dłonią.

Nawet nasz kapo, ten rozbity, galaretowaty, roztrzęsiony ze strachu kapo, przemieniał się w jego obecności. Podnosił chudą twarz, a jego rozbiegane, szare oczy czyniły się wielkie i płonące, kiedy rozmawiał z Jardą o morzu.

— Ja wiem — chełpił się z zachwytem — morze jest tak piękne, jak ani nie wiem, co!... Morze jest stokroć... ale co mówię!... Morze jest tysiąckroć piękniejsze, aniżeli najpiękniejsza dziewczyna w porcie!... Dziewczyna w porcie, chociażby ta najpiękniejsza, chce ode mnie tylko pieniędzy, a pozostawia mi syfilis!... A morze! Wiecie, czego chce morze?... — zwrócił się do nas przemieniony w oczach i na obliczu. Jakby doznał znienacka objawienia, na które latami czekał i czekał w pokorze.

— Wiecie, czego chce morze? — krzyczał już do nas, śmieszny w swej ekstazie, podobny do chudego proroka, z podniesioną głową, z twarzą uduchowionej łasicy, z rozczapierzonymi palcami przed sobą. — Wiecie, czego chce morze?... Wiecie?...

— Kabotyn! — mruknął do mnie przyjaciel Hans.

— Histeryk! — szepnął do mnie z drugiej strony kolega-sędzia z Alzacji, z sinymi workami pod oczami. Podobny był do płaczącej foki, lecz serce miał osłabione i ogromnie ludzkie. A że cierpiał na wodną puchlinę, więc obierał kartofle z nami.

Patrzyliśmy wszyscy na wzruszenie kapa jak na prostackie błaznowanie jakiegoś wesołka w cyrku. Nie wierzyliśmy w szczerość owego wzruszenia, a chociażby było nawet szczere, nie mogliśmy się oprzeć przekonaniu, że patos jego jest jakiś zdeklasowany, podobny do znalezionego wśród śmiecia pomię-

tego cylindra, który włożył sobie teraz na głowę i paraduje przed nami boso zawszony, w łachmanach.

Patrzyliśmy więc na kapa i na jego wzruszenie jak na radosne dla nas widowisko. Przecież to tak przyjemnie śmiać się i radować z czyjegoś nieopanowanego uczucia. A kapo stał przed nami, wciąż podobny do proroka o twarzy wniebowziętej łasisy, śmieszny i poniekąd już współczucie budzący, wciąż z rozczapierzonymi palcami przed sobą i czekający naszej odpowiedzi z grymasem bolesnego niepokoju.

— Wiecie, czego chce morze? — wołał prawie prosząco.

Zlitował się nad nim ponury Hiszpan.

— Nie wiemy! — rzekł za wszystkich, tłumiąc w sobie śmiech.

— To ja wam powiem!... Ja wam powiem, bo wy nie wiecie!... — ciskał w nas zduszone słowa. — Ja wam powiem! Morze chce życia człowieka!... Nie tak, jak „esman", nie tak, jak śmierć w cuchnącym łóżku, wśród beczących dzieci i kiedy żona gzi się z gachami w krzakach nad rzeką!... Nie! Morze chce życia człowieka wolnego, morze chce... Cholera, bo nie umiem tego powiedzieć!... Powiedz za mnie, Jarda!... Powiedz tym idiotom, tym zdechłym psom śmierdzącym!... Powiedz, Jarda!...

To już dopełniło miary. Hiszpan pierwszy zaczął, my za nim. Gruchnął obłąkany śmiech, gruby, rechotliwy, zanoszący się do łez, śmiech bez pamięci. W jego czkawce wyzwalał się w nas tajony odwet za doznawane upokorzenia ze strony kapa. Przynosił nam ulgę, taką uciszającą ulgę.

— Pleciesz trzy po trzy, kapo! — zaczął mój przyjaciel Hans, kiedy zbiorowy śmiech sfolgował. — Ja już byłem raz na morzu, a wtedy rzygałem!... Jak ostatnia świnia, spita ordynarną wódką...

— Jarda! — wrzasnął kapo, przecinając nasz ponownie rosnący śmiech. — Jarda, powiedz tym psom świńskim!...

Jarda przez cały czas słuchał w milczeniu. Siedział na beczce i słuchał. Jego gruby brat ślinił się rozmazanym uśmiechem, patrząc raz na kapa, drugi raz na nas, a trzeci brat-suchotnik wsparł łokcie na kolanach, brodę w dłoniach i spluwał na kupę obierzyn. Rozmyślał o swoich suchotach.

Teraz Jarda zsunął się z beczki, stanął przed nami. I znowu spokojny, opanowany, o wspaniałych oczach człowieka mocnego.

— Kto z was nie wierzy, że jest Bóg? — zapytał w ciszy.

Nikt z nas nie odpowiedział. Pytanie bowiem było tak nieoczekiwane, że nas poraziło swą dziwną odrębnością. Jakżeż w tej chwili zebrać rozpierzchłe myśli, zebrać je w garść, stłoczyć w tamto zagadnienie i odpowiedzieć? Jak suchy piasek sypie się z zaciśniętej dłoni, tak nasze myśli sypały się bezradnie w tej skupionej ciszy. Para brzęczała tylko nad nami na kształt potrząsanych kamyków w blaszance, woda bełkotała w rurach, a kapo wytrzeszczył oczy i dyszał ciężko. Podobny był ze swymi wpół otwartymi ustami do ryby wyrzuconej na brzeg.

— Kto z was nie wierzy, że jest Bóg — zaczął znów Jarda — niech idzie nad morze — mówił spokojnie, twardo, z wysiłkiem szukając słów w obcym dla siebie języku. — Jeżeli nigdzie nie chcesz zobaczyć Boga, to Go ujrzysz na morzu!... Ktoś inny widzi Go w gwiazdach, jeszcze ktoś inny w swoim sercu, a wy wszyscy, i ty kapo, wy Go zobaczycie na morzu!...

— Głupiś! Nie ma Boga!... — wrzasnął zaperzony kapo.

Inni powstawali z ławy, chcieli również krzyczeć, chcieli po prostu przytakiwać lub zaprzeczać, zanosiło się na niebywałą w dziejach naszej piwnicy namiętną dyskusję teologiczną, kiedy znienacka ktoś tam u wejścia stojący syknął donośnie:

— Szef idzie!

I jakby wicher dmuchnął w płomienie perzu, zgasło wszystko w oka mgnieniu, wszyscy skulili się nad cebrzykami z kartoflami, wszyscy zaczęli je obierać, a kapo oparł się o basen. Dygotał ze strachu. Przecież szef idzie. Jeżeli zauważy, że nie pracowaliśmy, będzie piekło. Będzie straszne piekło!... Gotów wylecieć z pracy w kuchni za karę i dostać się na transport. A pójście z transportem do innego obozu równało się prawie śmierci. Kapo nie chce umierać. Kapo chce doczekać się wolności, kapo chce wrócić między ludzi, kapo musi wrócić między wolnych ludzi!...

Przyszedł szef, ciężki, odęty, patrzący spodełba na naszą pracę. Jego spojrzenie przechodziło powoli z więźnia na więźnia, zatrzymało się dłużej na Jardzie, potem spełzło na kapa. Kapo trząsł się wyraźnie, drętwiał, a jego grdyka z pofałdowaną skórą poruszała się, jakby z wysiłkiem przełykał stężałą ślinę. Szef spojrzał jeszcze do basenów, spojrzał do naszych cebrzyków, schylił się, wyjął z wody obrany kartofel, obejrzał dokładnie. Nie znalazł na nim „oczka". Rzucił go niedbale na kupę obierzyn i wciąż milcząc zawrócił do wyjścia. Przy drzwiach zawołał:

— Kapo!...

Głos jego był ostry, płaski, nadęty pychą i pogardą.

— Rozkaz, panie Sturmführer!... — wybełkotał kapo w biegu i stanął przed nim na baczność.

— Czemu nie meldujesz, ilu masz ludzi?

— Herr Sturmführer... melde gehorsamst... — krztusił się opornymi słowami.

Wydusił w końcu świętą formułkę, szef zaś wykrzywił usta i wyszedł.

Odtąd rozpoczęły się dla nas dziwne dni. W każdej wolnej chwilce kapo powracał do rozmowy o morzu, chwalił się swymi przeżyciami na nim, opisywał je z zachwytem, usiłował nas przekonać, wywołać w nas zdumienie, oszołomić nas jego potęgą Myśmy słuchali, jak słucha człowiek trzeźwy gględzenia pijaka. Kpiliśmy z jego uniesień, dworowaliśmy z jego wzruszeń, a równocześnie radowaliśmy się, bo odkrywaliśmy u niego tę słabą stronę, w którą można będzie najskuteczniej uderzyć w takiej chwili, gdy będzie trzeba go porazić i upokorzyć.

Jarda trzymał się na uboczu, tylko jego gruby brat uśmiechał się wciąż do wszystkich i przymilał potakiwaniem, a trzeci brat, suchotnik, kaszlał i spluwał w obierzyny. Czasem splunął w dłoń i długo patrzył w plwociny. Oglądał je pod światło, marszczył brwi, grzebał w nich palcem a potem wzdychał i ocierał dłoń obierzynami.

— Jest krew? — pytał go mój przyjaciel, Hans ze Sudetów.

— Jest...

— No, to długo nie będziesz się już męczył w obozie... Umrzesz i skończone.

Halina Dąbrowska — „Wil. Tow. Art. Plast.". Głowa staruszki

Tadeusz Makowski

— Nie prawda! — protestował gwałtownie suchotnik.

— Prawda, nie prawda... Powiadam, że umrzesz i skończone!... Czy ci żal takiego zasr... życia?...

Rozmowę przerywał Jarda.

— Brat nie umrze — mówił twardo. — Już ci tyle razy mówiłem, że nie umrze!...

— A dlaczego nie miałby umrzeć? — nalegał Hans.

— Jadran go wyleczy!... Wiesz? Morze go wyleczy!...

Kilka razy powtarzała się ta sama rozmowa i za każdym razem stanowiła hasło dla kapa. Kapo bowiem w tej samej chwili przemieniał się znowu w ascetycznego proroka, obłąkanego narastającą ekstazą, i znowu zaczynał głosić swoje koślawe hymny na cześć morza. W hymnach tych było może więcej kobiet nadmorskich i ich miłości, aniżeli samego morza, może było więcej niesamowitych przygód bohaterskich i łgarstwa zwykłego obieżyświata, aniżeli zachwytu nad istotą morza. Aczkolwiek bywały dni, w których usuwał siebie na daleki plan i przemieniał się w bezinteresownego bałwochwalcę morza.

— Nie ma Boga, ale jest morze!... — wołał do nas pewnego razu, rozczapierzając znowu palce przed sobą i przechylając głowę do tyłu.. — Jest morze, lecz nie ma Boga!... Jarda jest głupi!... Morze jest mądre!... Morze jest mądre, jak ani nie wiem kto!... Morze jest tak wielkie i tak głębokie, i tak piękne!... Morze jest... Ale wy jesteście głupi! Wy tego nie zdołniście pojąć!... Wiecie, jakie jest morze?... Jarda, ty psie zdechły, powiedz do wszystkich diabłów tym idiotom, jakie jest morze!... Przecież ty wiesz!... Te bydlaki śmieją się ze mnie, bo nic nie wiedzą!... Jarda, powiedz!...

Jarda zwykle zbywał milczeniem „wygłupianie się“ kapa, jak określał Hans tamto jego egzaltowanie się morzem.

Jarda zdawał sobie sprawę, że ma tutaj do czynienia z jakimś osobliwym obłędem, któremu stopniowo wszyscy ulegamy. My także wiedzieliśmy o tym. Broniliśmy się kpinami i śmiechem, zasłanialiśmy się przed nim logicznym rozumowaniem, nie wiedząc, że nasze rzekome logiczne rozumowanie już dawno schodzi na bezdroża, że się gubimy w przesłankach, że my w ogóle nie myślimy już logicznie, lecz żyjemy tylko odruchami roztrzęsionych nerwów, że nam tylko krok od obłędu, w jakim pogrążał się kapo.

Kapo zarażał nas nieuchronnie swoją histerią, swoim kompleksem, swoimi urazami psychicznymi. Uważał siebie za normalnego człowieka, nas wszystkich zaś za zgraję głupców i obłąkańców. Powtarzał nam to po kilka razy dziennie, z jakimś maniackim uporem.

Czasem udawało mi się jakby oddalić z kręgu jego wpływów i patrzeć na niego innymi oczyma. Wymagało to sporego wysiłku, lecz wysiłek opłacał się szczodrze. Bo wtedy można było oglądać kapa, jakby jakieś patologiczne indywiduum w panoptikum. Budziło to we mnie wesołość, współczucie i przerażenie. Śmieszyła mnie jego bezradność, jego szamotanie się, koziołkowanie psychiczne, jego spoglądanie na życie i jego sprawy z jakiejś cudacznej perspektywy. Robił wrażenie człowieka, który uparł się, by stać na głowie i z tego położenia patrzeć na świat. A to wszystko było ogromnie śmieszne.

Po raz pierwszy zacząłem z nim współczuć, kiedy kolega mój z Alzacji zapytał, czy widziałem grupę Laokoona w Watykanie.

— Czytałeś „Eneidę“ Wirgiliusza? — rozpoczął nieoczekiwanie między jednym obranym kartoflem a drugim, trzymanym w dłoni.

— Czytałem! — rzekłem zdumiony.

— Drugą księgę. Wiesz, a ten mit o Laokoonie czytałeś?

— Czytałem. Ale do czego zmierzasz?

— Poczekaj!... A widziałeś ową grupę Laokoona w muzeum Watykańskim?

— Widziałem...

Sędzia alzacki spojrzał na mnie z szacunkiem, zmieszanym z niedowierzaniem.

— A przypominasz sobie dobrze samego Laokoona? Nie jego dwóch synów po bokach, lecz jego samego?...

— O tak!... Jestem wzrokowcem, mam dobrą pamięć wzrokową! — pochwaliłem się z jakimś podświadomym snobizmem.

— Nie o to mi chodzi!... Czyś wzrokowcem czy słuchowcem, wszystko fraszka!... Lecz chodzi mi tutaj o samego Laokoona z tamtej grupy. Widzisz go teraz dobrze? W wyobraźni? Jak się rozpaczliwie broni, jak się wygina boleśnie, jak cierpi, jaka jego twarz pełna tragizmu, jak szamoce się jego dusza, jak strasznie cierpi?... Widzisz, jak strasznie cierpi?... Wiesz, Laokoon to symbol człowieka w obozie. Tego człowieka, skazanego na śmierć, dziś jeszcze żywego, lecz już ukrzyżowanego, już cierpiącego, już pełnego tak strasznego tragizmu, jaki spotkasz jedynie w greckiej tragedii. Przypominasz sobie dobrze?

— Tak...

— A teraz popatrz na naszego kapa. To drugi Laokoon! W miniaturze wprawdzie, w niezdarnej i barbarzyńskiej miniaturze, lecz tak samo szamocący się i cierpiący, jak ów antyczny Laokoon. Widzisz?...

— Tak...

— A nie tylko kapo! My wszyscy stajemy się owymi Laokoonami! I my wszyscy podzielimy jego los!

— Czyj?

— Kapa—Laokoona!...

I od tej chwili widok rosnącego obłędu u kapa napełniał mnie przerażeniem. I wtedy po raz pierwszy powstało u mnie pragnienie, że albo on, kapo, musi nas opuścić, albo ja muszę stąd odejść. Lecz jeżeli stąd odejdę, nie będzie kartofli, którymi można dzisiaj sycić parszywy głód i bronić się śmierci!... Koledzy moi umierali pokotem, z głodu, z wycieńczenia, na tyfus, na wodną puchlinę, na flegmonę, konali pod zastrzykami benzyny w lazarecie, konali pod ścianami baraków, na błocie, w ustępach, lub czołgali się ostatnim wysiłkiem na linię obstrzału posterunków, na elektryczne druty kolczaste lub zgoła wieszali się w umywalni lub na krokwi w wychodku!... A przede wszystkim umierali z głodu!... Nie! Kapo musi nas opuścić, jeżeli nie chcę zarazić się jego obłąkaniem, lub jeżeli nie mam dzielić losu swoich kolegów w obozie, dosłownie zdychających z głodu!... Kapo musi odejść!...

I kapo istotnie odszedł.

Rozpoczęło się od zwykłej, codziennej pogwarki na ławie przy obieraniu kartofli. Kordicz-suchotnik znowu rozkaszlał się, zakrztusił i zakrył usta dłonią. Potem jął patrzeć z niepokojem na plwocinę w dłoni.

— Jest krew? — zapytał, jak zwykle, mój przyjaciel Hans.

— Jest! — westchnął suchotnik.

— Bracie, wyjedziesz kominem!... — pocieszył go po swojemu, z tym okrucieństwem, które dla nas jednak nie było już okrucieństwem.

— Nie pojadę! — zaprotestował gwałtownie suchotnik. I już teraz nie pytany, jął opowiadać o Jadrańskim morzu. Że ono takie łagodne, jak matka. Że takie błękitne, jak oczy matki. A matka ułoży go na brzegu, na wyspie Rab, bo tam mieszkają jego rodzice... Matka ułoży go na brzegu i każe mu godzinami patrzeć w niebo, odpoczywać i oddychać jadrańskim wiatrem. O właśnie, ten jadrański wiatr!... Jaki on łagodny, ciepły, pachnący morzem i słońcem, w posmaku słony, a przede wszystkim gojący płuca schorzałe. Przyjeżdżali bogaci ludzie z całego świata nad jego Jadrańskie morze, na wyspę Rab, a płuca mieli już zżarte gruźlicą, i po kilku miesiącach wracali zdrowi do swej ojczyzny. Umarła jedynie młoda dziewczyna gdzieś z północy. Z Czech czy z Polski, tego już nie wie. On ją całował i całował, i jej usta i jej piersi, a ona płakała. Bo nie chciała umierać. Ale umarła!... O tak, umarła, chociaż modlił się godzinami przed cudownym obrazem Matki Boskiej na świętym Kopieczku, prosząc o zdrowie dla tamtej dziewczyny. Dziewczyna umarła!... Błagał godzinami Matkę Boską, prosił, żeby jego wzięła, ale dziewczynę zostawiła przy życiu. Nie!... Matka Boska wzięła dziewczynę, a teraz może na niego kolej!... Gruźlica umierającej dziewczyny jemu się udzieliła!... Za karę!...

— Za jaką karę? — zapytał zasłuchany sędzia alzacki.

— Bo nasza miłość była grzeszna!... A Matka Boska nie lubi takiej miłości!...

— Mój brat wyzdrowieje! — wtrącił nieoczekiwanie drugi Kordicz, ten gruby. — Mój brat wyzdrowieje, gdy tylko wróci nad nasz Jadran!... Tu cierpi głód, a tam, hoho!... Tam przede wszystkim będzie jadał homary!... Kto już z was jadał homary?

— Ja!... — wrzasnął uradowany kapo, lecz gruby Kordicz nie pozwolił mu mówić.

— Takich homarów, jakie są u nas, nie ma nigdzie, w żadnym morzu!... Jedynie u nas są takie. Tłuste, mięsiste, strasznie dobre!... A kto jadł barana na rożnie upieczonego? Nikt z was? A mój brat będzie go jadał. To bywa jagnię tłuste, bardzo tłuste, odarte ze skóry, wypaproszone, nadziane na długi szpikulec... To się nazywa rożen! Pod rożnem płonie ognisko, a nad ogniem obracam jagnię i obracam. Jagnię smaży się, piecze pomaleńku, rumienieje, a tłuszcz spływa z niego i kap! kap! kap! do ogniska!... Płomień podnosi się, rumieni się jagnię, a taki zapach naokoło, że aż ślina idzie do gęby!... A jakie wino u nas!... Ho, ho!... Wy nie wiecie!... Mój brat wróci i gdy sobie poje takiego jagnięcia z chrupiącą skórką, gdy zapije winem, gdy zakąsi homarem, gdy otrze sobie brodę z kapiącego tłuszczu raz i drugi, będzie zdrowy!... Ho, ho! ja wiem dobrze!... Prawda, Jarda?... — zwrócił się do trzeciego brata i aż cmokał z zadowolenia. Jego twarz przemieniła się w uszczęśliwioną pełnię księżyca, a uśmiech rozpromienił ją szereko, oczy zaś stały się małe i wilgotne.

Opis tłustego jagnięcia, pieczonego na rożnie, okapującego tłuszczem do ogniska, a potem po brodzie, zapijanego winem, wywołał w nas jakieś lubieżne

sycenie się wyimaginowanym smakołykiem. Wszyscy przełykali ślinę, ruszali ustami i grdyką, a ślina napływała wciąż do ust i wyciekała ich kącikami lepką nitką.

Kapo ślinił się najmocniej.

Kapo w ogóle najmocniej przeżywał wszelkie niedosyty. Niedosyt władzy, niedosyt żarcia i niedosyt seksualny. Zaspokajał je surogatami sytości. Niedosyt władzy uciszał w sobie pastwieniem się nad szczurem w basenie i nad nami; niedosyt żarcia — pożeraniem wszystkich ochłapów z kuchni „esmańskiej", bez dzielenia się z nami, a czym już naruszał mocno niepisane prawo tak zwanego „Kameradschaft'u"; głód seksualny zaś przechodził u niego w obrzydliwą obsesję, w brudny, ordynarny, chorobliwy nałóg opisywania lubieżnych scen miłosnych, w ustawicznym, prawie na naszych oczach uprawianym samogwałcie i w zwyrodniałej skłonności do młodych chłopców. Był nam więc istotnie owym truchłem cuchnącym — jak go nazywał Hans — budzącym w nas wstręt fizyczny. Ów wstręt był tak silny, że nie byliśmy zdolni brać pod uwagę tej okoliczności łagodzącej, iż to wszystko było produktem jego długoletniego życia w obozie koncentracyjnym.

Teraz, podczas opowiadania grubego Kordicza o tłustej pieczeni baraniej, ślinił się najobrzydliwiej. Mlaskał głośno, przełykał ślinę, oczy jego przymykały się, a jego twarz o wyrazie płochliwej łasicy przybierała podobieństwo pyszczka wychudzonego kota, który najadł się do syta i teraz leży w słońcu i przeżywa błogość napełnionego żołądka.

Poderwał się dopiero, ożywił gwałtownie, kiedy Jarda rozpoczął mówić o swoim Jadranie. Podniósł się, otworzył szeroko oczy i w miarę opowiadania Jardy podnosił przed siebie dłonie z rozczapierzonymi palcami. A Jarda tymczasem mówił!... Boże, jak on mówił! To nie było już opowiadanie, to był wspaniały, pochwalny hymn na cześć morza i słońca, jakieś pogańskie czy świętofranciszkańskie, radosne uwielbianie ich urody, jakiś panteistyczny rapsod morski!...

— ... Jadrańskie morze szumi i szumi, a wichry lecą z daleka i również szumią! Morze jest błękitne, a wichry są również błękitne. Wichry rwą morze na białe, pieniste strzępy i ciskają o brzeg Rabu!... Morze śpiewa, morze woła, morze krzyczy i krzyczy, pijane swoją mocą!... Morze Jadrańskie, to sam Bóg, bo jest tak wieczne, jak sam Bóg i tak wspaniałe, jak sam Bóg!... Morze modli się najwspanialszą modlitwą w swym ryku, w krzyczącym morzu krzyczy sam Bóg!... Taki ogromny, wspaniały, niepojęty Bóg!...

Słuchaliśmy w zdumieniu, gdyż Jarda przemienił się teraz w naszych oczach w jakiegoś radosnego bałwochwalcę, obłąkanego swym morzem. Głos jego podnosił się, przybierał tony ekstazy, porywał nas, wynosił na szczyt swego uniesienia, przemieniał w słonecznych szaleńców, których opętała wizja wolności, przestrzeni i słońca!... Nie było już w tej chwili kolczastych drutów, nie było przekleństwa niewoli, nie było niczego, co nas przemieniało w stado zaszczutych zwierząt, ze wszech stron osaczonych potworną śmiercią, a byliśmy w tej chwili ludźmi wolnymi, idącymi w świat po jego nieobeszłe granice, byliśmy ludźmi pijanymi słońcem, przestrzenią, wichrem podniebnym, morzem, wolnością...

Mój przyjaciel Hans oparł się o betonowy słup i szlochał, a mój drugi przyjaciel, sędzia z Alzacji, skulił się na ławie, zakrył twarz dłońmi i dyszał ciężko. Kapo zaś, ten dziwny już pokurcz ludzki, oszalał!... Dosłownie oszalał!... Ujął się dłońmi za głowę i jął teraz chodzić w kółko między cebrami z kartoflami, jak nieprzytomny, jak prawdziwie obłąkany i bez przerwy powtarzał wysokim, piskliwym, zawodzącym tonem:

— Das Meer, mein Gott, das Meer!...

Zbiorowe oszołomienie dochodziło do największego natężenia. Jardy głos nabrzmiewał najwyższymi tonami uwielbienia, gdy znienacka wpadł między nas Francuz Roger o wyłupiastym lewym oku, pełnym przerażenia:

— Cicho, wy głupia!... Szef idzie, szef!...

Lecz nie zdążył.

Gruby szef o gębie rzeźnika wpadł do piwnicy.

— Was ist los!? — ryknął.

My wprawdzie zdołaliśmy w porę zwalić się na łeb na szyję w ponurą rzeczywistość, zdołaliśmy w porę przycupnąć nad kartoflami, lecz kapo nie zdołał. Już wszyscy obieraliśmy kartofle, a kapo, jakby nie widział i nie słyszał szefa, chodził wciąż po piwnicy, trzymał się dłońmi za skronie i skomlał:

— Mein Gott, das Meer, das Meer!...

— Kapo! — krzyknął szef. — Was ist los!?...

Kapo nie słyszy. Chodzi w kółko i kwili bez przerwy. Odwróciłem się, spojrzałem w jego twarz. Oczy miał szeroko rozwarte, błędne, wpatrzone gdzieś przed siebie, już nic nie widzące, jak tylko to morze, to ogromne, bezkresne, wolne morze.

Szef podskoczył, trzasnął go na odlew w twarz. Kapo zwalił się na posadzkę. Leży teraz na kupie obierzyn, z rozciętego na basenie policzka cieknie niteczka krwi, trzyma wciąż skronie w dłoniach i mamle wciąż tamte słowa:

— Mein Gott, das Meer, das Meer!...

Skończyło się rychło ze wszystkim. Szef kopnął kilka razy kapa, potem kazał go zaprowadzić do lazaretu. Na oddział dla obłąkanych. Prowadziło go dwóch naszych kolegów. Nie bronił się, nie opierał, tylko powtarzał cichym już teraz głosem, podobnym do płaczu: „Das Meer, mein Gott, das Meer!...“ W lazarecie przyjął go kapo rewirowy.

— Co, zwariował? — zauważył rubasznie. — Hm, nic nowego! Jutro, pojutrze jego obłąkana dusza wyleci kominem!...

Otworzył drzwi i pchnął go do wąskiego pokoju o zakratowanych oknach. Na podłodze siedziało kilku obłąkanych, czekających zastrzyku, by ich dusze mogły także wylecieć kominem krematorium.

Gdy koledzy wrócili, zastali w piwnicy nowego już kapa.

Kapem został nasz Jarda.

GŁOSY PRASY

Aktywność wydawnicza w Polsce. „TYGODNIK POWSZECHNY", pismo społeczno-kulturalne, ukazujące się w Krakowie, rzuca w numerze 37 z 2 grudnia ciekawe światło na ożywioną aktywność wydawniczą w Polsce po długich latach niewoli. Uwagi te są tym ciekawsze, iż jest to jeden z pierwszych głosów w tej sprawie, który dotarł do nas z kraju, a nadto pismo to należy do najpoważniejszych i najlepiej redagowanych wydawnictw w Polsce.

Oto jak „Tyg. Pow." charakteryzuje współczesne prądy wydawnicze w kraju:

Żyjemy stanowczo pod hasłem czasopism.

Prasa — w szerokim tego słowa znaczeniu — jest tym pierwszym głosem, który wydobył się z piszącego społeczeństwa po okupacji. Jest to zjawisko zrozumiałe, tak ze względów praktycznych (brak papieru, brak większych funduszów na wydawanie książek), jak i ze względów psychologicznych; pewna niecierpliwość ludzi piszących, aby ich głos doszedł do uszu publiczności. Jest to jakby owa „zaspieszona rozmowa", w której chce każdy od razu wypowiedzieć wszystko, co przeżył i co przemyślał.

Zdawało się w pierwszej chwili, że periodyki utoną w reportażu wojenno-okupacyjnym. Ale nie stało się tak. Dziś najwidoczniej ta fala opowiadań ustępuje potrzebie dyskusji i to dyskusji na tematy zasadnicze. Pełne są wszystkie czasopisma artykułów, dyskusyj i polemik na temat marksizmu i katolicyzmu, realizmu, etycznej i społecznej odpowiedzialności sztuki i t. d. Słyszy się czasami głosy, że te dyskusje są nużące, że nie są „na poziomie". Mnie przeciwnie wydaje się, że są bardzo ciekawe, że właśnie są na bardzo dobrym poziomie i atmosfera żarliwości i zainteresowania, jaką wytwarzają, dobrze świadczy o naszym życiu umysłowym i intelektualnym.

Obok tej nuty teoretycznej, dyskusyjnej, drugim kierunkiem naszych periodycznych wydawnictw jest ukazywanie „twórczości oryginalnej". Po wszystkich pismach hojnie jest rozsiana poezja i „fragmenty" mnóstwa powieści, studiów, prac dłuższych, które w biurkach pisarzy usychają z niecierpliwości, by wyjść na światło dzienne. Zawsze wydaje mi się, że jest coś bolesnego w tych strzępach wyrwanych z całości. Z takich próbek oczywiście można sądzić o całości tylko bardzo niekompletnie, właściwie można sądzić tylko o stylu — no i o pewnej atmosferze książki, o pewnym jej klimacie. Jest to już coś, ale nie wszystko"...

W numerze 41 z 30 grudnia pismo podaje wiadomość o „zmartwychwstaniu", jakie przeżywa dziś w Polsce „Stara Baśń". Stwierdziwszy, że Kraszewski w okresie międzywojennym 1919—1939 był wyraźnie „w odstawce" i że krytyka traktowała jego powieść historyczną z niewielkim entuzjazmem, autor pisze:

Dziś „Stara Baśń" Kraszewskiego była obok „Krzyżaków" pierwszą książką, jaką uznano za godną reedycji.

Działały tu niewątpliwie motywy społeczne i polityczne. Działało także rozbudzenie zainteresowań historycznych. W chwili, gdy obejmujemy ziemie zachodnie, wszyscy interesują się historią Słowian. Historią i prehistorią. Zrozumiałym więc jest, że sięgnięto po książkę, która w piękny zajmujący sposób dzieje te przedstawia. Działał też motyw społeczny, bo „Stara Baśń" będąc książką o dużym poziomie kulturalnym i artystycznym, jest równocześnie książką dla wszystkich dostępną i zrozumiałą. Można więc słusznie liczyć na to, że odpowie „zamówieniu społecznemu".

„Ale ponieważ najbardziej zdawałoby się przypadkowe zbieżności i skojarzenia mają zawsze głębsze uzasadnienie. może i ideowa postawa Kraszewskiego sprawiła, że stał się pisarzem aktualnym. Kraszewski bowiem od wczesnej młodości przeciwstawiał się romantyzmowi. Nie dał się porwać „balladomanii", nie dał się porwać powszechnemu entuzjazmowi dla poezji romantycznej. Zawsze zachował wobec niej stosunek chłodnego i raczej ironicznego obserwatora. Jeżeli szukał materiału dla swej twórczości u ludu i historii, to na zupełnie innych przesłankach, niż romantycy, Nie tyle szukał w niej poetyczności i „dziwności", ile prawdy. Chciał, żeby jego dzieło było „jeśli nie lepszym, to podobniejszym do prawdy".

Ten ostatni motyw jest bardzo charakterystyczny. Nie wiadomo tylko, czy jest on osobistym poglądem autora, czy też opinią szerszego ogółu w kraju.

Mickiewicz nieśmiertelny. Nawiązując do niektórych tendencyj w kraju nadania Mickiewiczowi charakteru „rewolucyjnego", francuska „PLACÓWKA" zamieściła artykuł wskazujący na rolę poety jako wyraziciela ducha i charakteru prawdziwie polskiego:

„90 lat minęło od śmierci Adama Mickiewicza, a wciąż postać jego w duchowych dziejach narodu odgrywa rolę dominującą. Zarówno cała jego poezja, jak życie i działalność polityczna nic nie straciły na aktualności. Starzeje się twórczość nawet tak genialnych poetów jak Słowacki, lub pisarzy, jak Żeromski — którzy jednak byli tylko poetami czy artystami — a wpływ Mickiewicza trwa, nawet rośnie coraz bardziej.

„Bo też Adam Mickiewicz jest chyba największym Polakiem w naszych dziejach pod względem duchowym, najlepszym wyrazicielem ducha i charakteru polskiego przez swój geniusz polityczny, idealizm nie tracący z oczu realnych zjawisk, walkę o wolność ducha ludzkiego, chrześcijańskie pojęcie Boga i roli człowieka na ziemi — jednym słowem przez ową całość psychiczną, która nazywa się wielkim człowiekiem o harmonijnie wykształconych władzach duszy. Zdawał sobie dobrze sprawę sam Mickiewicz z tej tożsamości swej z duszą narodu, dlatego w chwili największego natężenia instynktu poetyckiego w „Improwizacji" w III części „Dziadów" miał odwagę powiedzieć o sobie „nazywam się milion".

„Największą niewątpliwie zasługą historyczną Mickiewicza pozostanie fakt utwierdzenia raz na zawsze w duszach Polaków świadomości narodowej.

W związku z częstym ostatnio podkreślaniem „rewolucyjności" Mickiewicza pismo stwierdza, że był on rewolucjonistą tylko w tym znaczeniu, iż

....„posiadał wysoko rozwinięty zmysł sprawiedliwości narodowej" i „chciał upośledzone dotąd społecznie i gospodarczo warstwy, szczególnie chłopów, wprowadzić do wspólnoty narodowej, a nawet uczynić z nich główną siłę w walce o odbudowę Niepodległej Polski".

Jego rewolucjonizm i socjalizm był jednak całkowicie chrześcijański, antymaterialistyczny oraz antymarksistowski. Nie można zatem w żadnym razie uważać dziś Mickiewicza za proroka „totalizmu", „panslawizmu", marksistowskiej „rewolucyjności", jak to chcą niektórzy. Autor kończy:

„Przemawiał kiedyś Mickiewicz do włoskich tłumów w Mediolanie, iż wolności się nie otrzymuje, ale się ją zdobywa w ten czy inny sposób. Ten testament walczącego humanisty chrześcijańskiego — nabiera dla nas mocy obowiązującej. Promieniująca z życia i twórczości Mickiewicza głębia psychologiczna i czynna postawa, zapewnia mu lepiej, niż komu innemu nieśmiertelność".

Czy jesteśmy muzykalni? Na pytanie to stara się odpowiedzieć Henryk Rasz-Brzeski w Nr. 5 (192) ORŁA BIAŁEGO, wychodzącego we Włoszech. Artykuł ten jest dyskusją z autorem artykułu p. t. „Jesteśmy narodem muzykalnym" p. Henrykiem Swolkieniem w numerze 49 (184) pisma.

Autor utrzymuje, iż przeglądając prasę polską na uchodźstwie, można dostrzec, że jednym z zagadnień najmniej poruszanych jest problem muzyki. Opierając się na tym samym schemacie myślowym co p. Swolkień, autor próbuje dowieść, że wiele jeszcze leży przed nami zadań w zakresie pogłębienia muzykalności narodowej, a to cośmy dotychczas na tym polu osiągnęli jest raczej tylko świadectwem naszych uzdolnień i możliwości, oraz bodźcem do dalszej pracy, ale nie dowodem, że nic więcej już w dziedzinie naszej kultury muzycznej robić nie potrzeba.

Jako kryteria oceny muzykalności obaj autorowie przyjmują: 1. uzdolnienie, 2. dorobek twórczy, 3. powszechną kulturę muzyczną t. j. rolę muzyki w życiu narodów, jej jakość i poziom odtwórczy. O ile zgadzają się co do punktu pierwszego, twierdząc, że uzdolnienia muzyczne są w szerokim zakresie właściwością Polaków, o tyle różnią się w ocenie drugiego punktu (uzasadnienie szczupłości polskiego dorobku muzycznego warunkami politycznymi), a już całkiem odbiegają od siebie w punkcie trzecim.

Ale oddajmy głos autorowi Henrykowi Rasz-Brzeskiemu co do ostatniego, bodaj najciekawszego punktu:

„Z punktu widzenia przeciętnego konsumenta możemy podzielić całą twórczość muzyczną na trzy zasadnicze części: muzykę ludową, muzykę lekką (w większości taneczną) i muzykę poważną (symfoniczną, operową, kameralną i t. p.).

Traktując muzykę ludową jako raczej prymityw muzyczny, zgadzam się..., że zarówno poziom, jak i bogactwo jej motywów są punktem bodaj najbardziej dodatnim w naszym dorobku muzycznym.

Największe grono odbiorców muzyki wskazuje wśród ogółu Polaków muzyka lekka, zwłaszcza taneczna. Sukces ten jest co prawda tylko połowiczny, łączy się bowiem organicznie z drugą rozrywką — tańcem, a więc elementem pozamuzycznym.

Dorobek własny na tym polu również nie daje powodu do specjalnej dumy. Dowodzi tego bardzo szczupła liczba wybitniejszych kompozytorów rodzimych. Większość utworów z tej dziedziny była dziełem nielicznej grupy muzyków, a poziom artystyczny przedstawiał się — nie chcę tu być posądzony o defetyzm — naprawdę wątpliwie i był w swej istocie tylko naśladownictwem daleko lepszych osiągnięć zagranicy.

Co do muzyki poważnej, autor pisze:

„Na tym polu wszelkie porównania z obcymi wyglądają dla nas najbardziej ponuro. Wprawdzie garstka, tak, niestety tylko garstka, wykonawców, oddanych sprawie i zapalonych muzyków daje nam wysoki poziom odtwórczy, jest to jednak tylko kropla w morzu, jak na potrzeby przeciętnie muzykalnego 35-milionowego narodu.

Nie omylę się chyba, gdy stwierdzę, że ilość poważnych instytucji muzycznych wraz z operami, policzyć było można w całej Polsce na palcach obu rąk. Komentarze wszelkie — chyba zbyteczne.

Nielepiej jest pod tym względem i obecnie, a znikoma ilość mundurów polskich na koncertach symfonicznych w rzymskim „Adriano" przekona o tym największego oponenta.

Jakżeż pod tym względem zazdrościć możemy społeczeństwu angielskiemu...

U nas niestety ciągle jeszcze jest inaczej.

Problem »Displaced Persons«. Zagadnienie przesiedleńców na terenie Niemiec, czemu poświęciliśmy kilka słów w ostatnich „GŁOSACH PRASY", nie zostało dotąd pomyślnie rozwiązane przez Aliantów, lecz przeciwnie coraz więcej się komplikuje. Wychodzący w języku angielskim tygodnik „THE TABLET" w Londynie poświęca temu zagadnieniu specjalny artykuł, zajmujący się losem obywateli państw Wschodniej Europy, a szczególnie Ukraińców w zonie okupacyjnej angielskiej (Nr. 5520 z 23 lutego 46).

Pismo stwierdza, iż w Zachodniej Europie jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska: z jednej strony widzimy żołnierzy amerykańskich buntujących się z powodu niemożności powrotu do swych domów, z drugiej zaś masy „Displaced Persons" nie chcących wracać. Warunki życia uchylających się od powrotu są nie do pozazdroszczenia, o czym świadczy następujący wyjątek:

„Znaczne ilości ich ukrywają się w lasach i po pagórkach, bez środków do życia, choć szukają oni możności zarobienia na życie, gdzie tylko mogą. Obawiają się oni, że w obozach Alianci wydadzą ich, jak to miało już często miejsce, władzom sowieckim. Niektórzy z nich, nie będąc zdolnymi do pracy (dla Niemców lub innych) zmuszeni są dołączyć się do grasujących band, aby utrzymać się przy życiu. Między nimi znajdują się i dzieci, które miały osiem lat gdy wojna wybuchła, a obecnie mają lat czternaście i dotąd ani jednego dnia nie spędziły w szkole...

Problem — przybierający tak tragiczne formy — ma, zdaniem pisma, dwa odrębne aspekty: materialny i moralno-polityczny. Co do pierwszego, to polega on na dostarczeniu masom bezdomnych jedzenia, dachu nad głową oraz pracy. Co do politycznej strony, autor widzi jedno słuszne rozwiązanie t. j. przestrzeganie zasad Organizacji Zjednoczonych Narodów powołanej do życia w styczniu b. r.:

„Inaugurując Kartę Zjednoczonych Narodów powiedział brytyjski premier: „W karcie tej widzimy potwierdzenie naszej wiary w podstawowe ludzkie prawa. Uważamy, że wolność jednostki w państwie jest zasadniczym uzupełnieniem wolności państwa... Podkreślamy również konieczność społecznej sprawiedliwości". Dla nas wszystkich, a szczególnie dla uchodźców, zasady te są antytezą i przeciwstawieniem wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości, tyranii i dyktatury, jakakolwiek jest ich nazwa czy kolor, bez względu na to czy nazywają się dyktaturą „ludu", jednej osoby czy Wielkiej Trójki. Prezes komisji przygotowawczej Zjednoczonych Narodów, która przygotowała Kartę, otworzył pierwsze posiedzenie w dniu 9 stycznia, proklamując, że nowa Karta świata „podkreśla dobitnie znaczenie żywotne dodania światu bodźca i zachęty do rzeczywistego respektowania podstawowych wolności, praw indywidualnych, godności ludzkiej i nakazów sprawiedliwości jako podstawy do utrzymania pokoju". To zatem jest myśl przewodnia Karty, następczyni zarazem Karty Atlantyckiej, jak i Statutu Ligi Narodów.

T. Jaraczewski

Kronika kulturalna Polonii Amerykańskiej

Nauka języka polskiego w Stanach Zjednoczonych. Według danych, zebranych przez ks. prof. Bolka z Buffalo — język polski wykładany jest obecnie w Stanach Zjednoczonych na 11 uniwersytetach, w 22 kolegiach i seminariach nauczycielskich oraz 34 wyższych uczelniach różnego typu. Uczy w nich 80 wykładowców, wszyscy pochodzenia polskiego. W 55 szkołach średnich (high schools) wykłada języka polskiego 250 nauczycieli około 10000 uczniom. W 1202 szkołach elementarnych z 10341 nauczycielami i 172000 uczniów język polski jest obowiązujący. W miejscowościach, gdzie Amerykanie polskiego pochodzenia stanowią przygniatającą większość (np. Warsav w stanie North Dakota, Panna Maria w stanie Texas) język polski wykładany jest w szkołach publicznych: elementarnych i średnich. W Chicago, gdzie 22 grupy narodowościowe mają języki ojczyste w swoich szkołach (kiedy doczekamy się w Europie takiej demokratycznej tolerancji kulturalnej?) przodują Polacy, dysponując 101 szkołami z 5700 uczniów. Prof. Włodzimierz Skłodowski, kształcący polonistów na uniwersytetach De Paul i Northwestern w Chicago, ledwie może zaradzić brakowi sił nauczycielskich.

Tournée Małcużyńskiego. Znany polski pianista Witold Małcużyński objeżdża obecnie z koncertami środkowe i zachodnie Stany Zjednoczone. W kwietniu będzie koncertował w Nowym Jorku. Towarzyszyć mu będzie orkiestra pod batutą sławnego również rodaka Artura Rodzińskiego. Małcużyński wyjeżdża następnie do Meksyku i Ameryki Południowej, gdzie da kilkanaście koncertów. W lipcu wraca do Stanów Zjednoczonych. Koncerty jego odbędą się w Chicago, Nowym Jorku i Filadelfii na olbrzymich stadionach sportowych, aby jak najszersza publiczność mogła wysłuchać jego gry. Dalszym etapem tournée Małcużyńskiego będzie Montreal (Kanada), poczem w połowie sierpnia udaje się on do Europy, gdzie wystąpi w Anglii, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Szwajcarii, Belgii i Holandii. Organizacją tournée po Europie zajmuje się sławny impresario angielski Harold Holt. W połowie stycznia 1947 sławny nasz rodak wraca ponownie do Stanów Zjednoczynych.

Echa śmierci Feliksa Nowowiejskiego. Prasa polska w Ameryce poświęciła sporo miejsca wspomnieniom o znanym kompozytorze polskim Feliksie Nowowiejskim, który zmarł niedawno w Poznaniu w wieku lat 63. W latach 1908-1909 Nowowiejski bawił w Stanach Zjednoczonych, gdzie otrzymał nagrodę za swój Marsz Wojskowy. Jak wiadomo zmarły skomponował muzykę do »Roty« Konopnickiej, oratorium »Quo vadis«, »Symfonię Pokoju« 1939 oraz wiele innych utworów muzycznych.

Z działalności »Fundacji Kościuszkowskiej«. Znana ta ambasada polskiej kultury w Ameryce zakupiła ostatnio przy 65 ulicy w Nowym Jorku własny dom za sumę 17800 dolarów.

Budowa pomnika Władysława Jagiełły. Dziennik polski »Nowy Świat«, wychodzący w Nowym Jorku, zebrał kwotę prawie 20000 dolarów na zakończenie budowy pomnika.

Angielski film p. t. »Warsaw Concerto«, przedstawiający polski wkład zbrojny i bohaterstwo naszego żołnierza w czasie ostatniej wojny, wyświetlany jest obecnie w Stanach Zjednoczonych.

PRZEGLĄD WYDAWNICZY

GUSTAW MORCINEK, *Listy spod morwy (Sachsenhausen — Dachau).* Księgarnia Polska 1945, Paryż, str. 99 + 1 nlb.

Czyta się »Listy« jednym tchem. Nie są one utworem literackim w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zresztą trudno mierzyć je jakimiś kryteriami estetycznymi. Napisał je bowiem ktoś, kto dopiero wczoraj opuścił był obóz koncentracyjny po 5 latach i 7 miesiącach życia w atmosferze powolnego, długiego konania, ocierania się o najniższe instynkty ludzkie, a często nie-ludzkie, nie-zwierzęce nawet, o instynkty i odruchy w dziejach człowieka dotychczas nienotowane. Może ktoś kiedyś wypełni ich opisami i analizą psychologiczne dzieło na temat patologii obozu koncentracyjnego.

Swoje wspomnienia zamknął Morcinek w formę listów. Są one luźne, niepowiązane, przypadkowe. Kojarzą się jak koszmarne widziadła niezdrowego snu chorego człowieka. Pod wspólny mianownik można jedynie podciągnąć w nich operowanie przez autora swoistym kontrastem. Składa się nań spokój, cisza otaczająca Morcinka w zapadłej, górskiej wiosce francuskiej — oraz wspomnienia niedawnych jeszcze przeżyć w obozie koncentracyjnym. Nagromadzone tam kompleksy szukają ujścia i wyładowania, psychiczne krzywizny sprostowania. W duszy niedawnego jeszcze człowieka-numeru toczy się zacięta walka. Okazję do niej daje najbłahszy szczegół nowego życia-zmartwychwstania. Odżywają powoli, z trudem wielkim, dawne nawyki myślowe, regeneruje się uczucie. Człowieka-numer pokonuje człowiek-indywiduum. Książka Morcinka nie nudzi nas morałami, filozoficznymi refleksjami. Jest ona prosta, bezpośrednia, bez jakichkolwiek pretensyj. Na jej marginesie można jednak zapisać tomy najrozmaitszych uwag. Prymitywizm stylu posuwa się w niej aż do czegoś, co moglibyśmy nawet uważać za świadome unikanie poprawności pisania.

Nie to jednak jest istotne dla oceny »Listów spod morwy«. Książka Morcinka kryje w sobie głęboki sens. Da się on wyłowić niemal na ostatniej stronie — w wyznaniu, które stanowi jej najpiękniejszą pointę. Jest nią wiara w zupełne odrodzenie się człowieczeństwa, zbrukanego i całkowicie zdeptanego przez twórców obozów koncentracyjnych. Podstawę tego odrodzenia stanowią dla autora »Listów« słowa codziennej modlitwy: ...„i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!"

E. L-s

Wydawnictwa książkowe »Czytelnika«

Spółdzielnia wydawnicza »Czytelnik« jest dziś najruchliwszą i najpoważniejszą instytucją wydawniczą w Polsce. Od października 1945 r. wydaje ona także miesięcznik informacyjno-instrukcyjny »Książka i kultura« (str. 24, cena 3 zł.). Z docierających z rzadka tylko za granicę pism polskich zrekonstruowaliśmy tutaj pozycje bibliograficzne dotąd wydane. Podane obok ceny pozwolą się zorientować — oczywista, w zestawieniu z przeciętną zarobków — na jakie książki pozwolić sobie może zwykły obywatel. Rozpiętość tych cen jest znaczna. Trzeba dodać, że »Placówka« Prusa, wydana przez Gebethnera i Wolffa kosztuje 250 zł., zwykły szkolny podręcznik 300—500 zł., a podręcznik uniwersytecki 500 do 1500 zł. Cyfry ostatnio cytowane są zaczerpnięte z artykułu Jana Kota pt. »295«, zamieszczonego w tygodniku ilustrowanym »Przekrój« z dn. 10.XI.1945. 295 — to ilość książek, jakie ukazały się w Polsce w okresie od 22 lipca 1944 do 15 października 1945. Z tej liczby na literaturę piękną przypada 59 pozycyj (20%), na wydawnictwa popularne 135 pozycyj (46%), wydawnictwa wojskowe 33 (11%), podręczniki 24 (8%) i różne — 44 (15%).

Poza »Czytelnikiem« działają jeszcze następujące ważniejsze instytucje wydawnicze: Spółdzielnia Wydawnicza »Książka«, Spółdzielnia Socjalistyczna »Wiedza«, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Zakład Narod. im. Ossolińskich, Gebethner i Wolff. *St. S.*

Literatura piękna:

Andrzejewski J. — „Noc" . . 140,—
Boy-Żeleński T. — „Znasz-li ten kraj" 160,—
Gojawiczyńska P. — „Krata" . . 85,—
Kraszewski I. J. — „Stara baśn" . 80,—
Miłosz Cz. — „Ocalenie" . . . 170,—
Nowicki A. — „Podróż do ziemi Świętej" . . . . . 25,—
Przyboś J. — „Miejsce na ziemi" . 95,—
Sienkiewicz H. — „Krzyżacy", 2 tomy 120,—
Szmaglewska S. — „Dymy nad Birkenau" . . . . . 140,—
Tuwim J. — „Lutnia Puszkina" . 180,—

Literatura naukowa:

Grycz J. —„Bibliotekarstwo praktyczne w zarysie. Podręcznik i poradnik" 120,—
Kobendza J. i R. — „Materiały przyrodnicze do projektu rozplanowania Puszczy Kampinoskiej" . 55,—
Pawłow J. P. — „Mózg i jego mechanizm", wyd. II . . . 120,—

Książki prawnicze:

Giebułtowicz J. — „Odpowiedzialność przestępców woj. w świetle prawa narodów" . . . . 70,—
„Kodeks pracy" . . . . 120,—
„Kodeks postępowania karnego". 100,—
„Kodeks zobowiązań". . . 160,—
Namitkiewicz J. i Rakower A. —„Ustawa o majątkach opuszczonych i porzuconych". Komentarz . 180,—
Postępowanie administracyjne — „Reforma rolna. Przejęcie lasów na własność Skarbu Państwa . . 30,—
Sawicki J. i Walawski B, — Zbiór przepisów specjalnych przeciw zbrodniarzom hitlerow. i zdrajcom narodu" z komentarzem. . 45,—
„Ustawa o prawie autorskim" . . 20,—

Biblioteka społeczno-polityczna:

Ehrich S. — „Strategia zwycięstwa" 12,—
Grosz W. — „Na drogach powrotu" 15,—
Horah A. — Wojna polsko-niemiecka 1939 . . . . . 12,—
Litauer S. — Zmierzch „Londynu" . 151,—
Oranowski S. — „W oczach Londynu" Materiały do dziejów powstania warszawskiego. I. . . . 10.—

Książki dla dzieci i młodzieży:

Broniewska J.— „Czołg por. Kukułki". Ilustr. . . . . 10,—
Brzechwa J. — „Baśń o korsarzu Palemonie". Ilustr. . . . 80,—
„Kaczka dziwaczka". Ilustr. . —
„Tańcowała igła z nitką". Ilustr. —
Brzeziński B. — „Kaczka kaszkę warzyła" . . . . . 180,—
Grodzieńska W. — „Najprawdziwsza bajka". Ilustr. . . . . 10,—
Koszubska I.— „Spełnione marzenia". Ilustr. . . . . 10,—
Kownacka M. — „O szewczyku Łukaszu, co szył buty dla ptaszków". Ilustr. . . . . 40,—
Krzemieniecka L. — „Kariera Franka Zyzaty". Ilustr. . . . . 50,—
Łempicki S.—„Słowo o Grunwaldzie". Lektura szkolna. . . . 30,—
Zarembina E.— „Lech, Czech i Rus". Ilustr. . . . . 10,—
Zarembina, Ożogowska, Batorowicz — „Czytamy". I, Wypisy. . . 5,—
Zarembina, Ożogowska, Batorowicz — „Nasza Ojczyzna". Wypisy. . 15,—
Zarembina, Porazińska, Januszewska — „Było i będzie". Wypisy . . —

Biblioteczka Młodego Czytelnika:

Boguszewska H.—„Za zielonym wałem" 40,—
Dąbrowska M. — „Marcin Kozera". Opowiadania. Lektura szkolna . 15,—
Żeromski S. — „Doktór Piotr". Opowiadanie. Lektura szkolna . . 15,—
Żeromski S. — „Siłaczka". Opowiadanie. Lektura szkolna. . . 15,—

Podręczniki do nauki języków:

Batorowicz Z., Ożogowska H. — „Piszmy poprawnie" . . . . 12,—
Jodłowski S., Taszycki W. — „Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym" . 40,—

Biblioteka tygodnika »Wieś«:

„Chłopska reforma rolna . . . 12,—

Biblioteka błękitna:

Małcużyński K. — „Od atomu do bomby" . . . . . 5,—

Biblioteka »Szpilek«:

Lipiński E., Szeląg J. — „Pożegnanie z Hitlerem". Ilustr. . . . 25,—
Minkiewicz J., Brzechwa J. — „Szopka polityczna 1945-46. Ilustr. . . 30,—

Teki graficzne:

Rygier M. — „Dni wyzwolenia" . 75,—
Tołkaczew Z. — „Majdanek, obóz zniszczenia" . . . . wyczerp.

Różne:

Dominko J. — „Z minionych lat" 15,—
Dróżdż Z., Milczarek W. — „Zakochani w Pomorzu". Ilustr. . 15,—
Ostrowski T. — „Więźniowie czapki zdjąć" . . . . . wyczerp.
Majdanek. Rozprawa przed specjalnym Sądem Karnym . . . wyczerp.

Wydawnictwa nutowe:

Raczkowski W. — „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę" . . . 90,—
Romaszkowa Z. — „Wybór etiud na pierwsze dwa lata nauki gry na fortepianie . . . . . 140,—

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA GDAŃSK
CII 2699
R. 1946

POLOGNE 19

Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne w języku fran
w okresie 20-lecia

Całość Wydawnictwa obejmuje 3 tomy przy współpracy z górą 100 autorów. Liczne mapy i wykresy

Tom I — **ŻYCIE POLITYCZNE I SPOŁECZNE**

Historia, Zagadnienia prawne, Polityka społeczna, Polacy zagranicą, Wyznania, Mniejszości Narodowe, Obrona narodowa. Str. 590. Cena 24.— Frs.

Tom II — **ŻYCIE GOSPODARCZE**

Opis geograficzny, Surowce, Opis demograficzny, Rolnictwo, Przemysł, Handel, Inwestycje publiczne, Finanse. Str. 712. Cena 24.— Frs.

Tom III — **ŻYCIE KULTURALNE**

Literatura, Szkolnictwo, Nauka, Sztuka, Inne dziedziny życia kulturalnego. Około 600 str. (w druku).

Nakładem Domu Wydawniczego »LA BACONNIÈRE« — BOUDRY (Neuchâtel) Szwajcaria

Na powyższy adres kierować należy zamówienia wydawnictwa na warunkach przedpłaty

Przedpłata:

Całość (trzy tomy) — Cena 50.— Frs.

Nr. konta czekowego: Neuchâtel IV. 1226 — Lyon 1313-61.

Wszelkich dodatkowych informacyj udziela Redakcja Wydawnictwa
(18, Av. de Pérolles, Fribourg, Suisse)

Książka o internowaniu

Polen und die Schweiz

do nabycia w »Pro Polonia«, Solothurn

Cena egzempl. brosz. 7,00 Frs. W oprawie 10,00 Frs.

Adres Redakcji: Fribourg, Case postale 247, Suisse, Tél. 21892 — Konto czekowe IIa 3219. V. Troller — HORYZONTY, Fribourg.

Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

Editeur: Vérène Troller. *Redaktor:* Eugeniusz Lukas. *Administracja:* Marian Respond.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach.
Prawa przedruku zastrzeżone.
Drukarnia Vogt-Schild S. A., Soleure, Suisse.
Klisze w wykonaniu Zakładów Graficznych Pfisterer S. A. Balderstrasse 30, Bern, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

Cena: Prix: **1.20 Frs.**

Za granicą: A l'étranger: **1.50 Frs.**